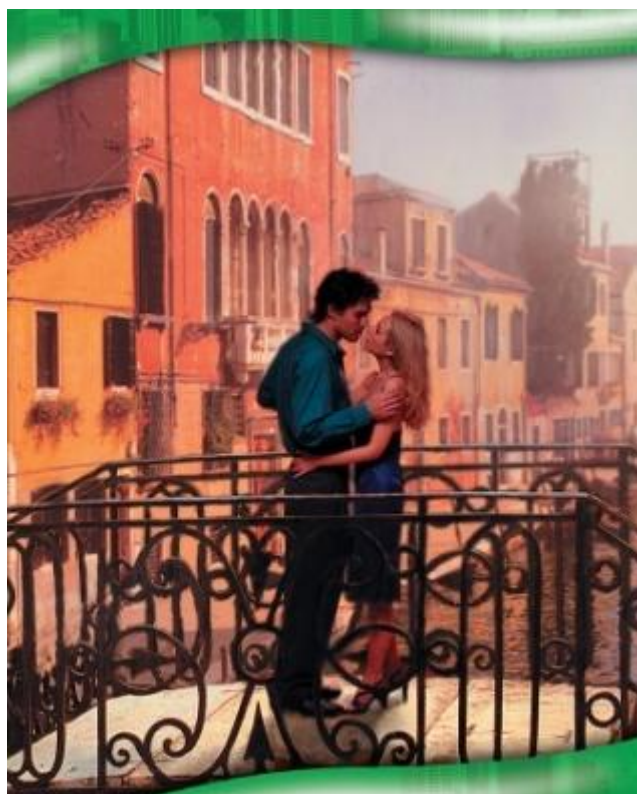




Lynne Graham



Z ukochanym w Wenecji

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Wszystko załatwione. Firma, dom i ziemia są twoje - oznajmił adwokat.

Kiedy Valente Lorenzatto się uśmiechał, wrogowie pierzchali w popłochu. Nawet jego pracownicy drżeli ze strachu. Cień przemknął teraz po jego przystojnej twarzy, nadając jej groźny wyraz.

- Świetna robota, Umberto - pochwalił.

- To wyłącznie twoja zasługa. Plan przejęcia był wprost genialny - zauważył starszy mężczyzna.

Oddałby więcej niż roczną premię, by się dowiedzieć, czemu jego bajecznie bogaty pracodawca poświęcił tyle czasu i energii na przejęcie angielskiej firmy transportowej i kawałka posiadłości, skoro żadna z nich nie przedstawiała dla niego wartości usprawiedliwiającej takie pociągnięcie. Nie wierzył w krążące plotki, że Lorenzatto pracował tam, zanim ubił pierwszy interes. Dopiero gdy zdobył pieniądze, dumna rodzina Barbierich uznała go oficjalnie za nieślubnego wnuka hrabiego Ettorego Barbieriego.

Ta wieść zelektryzowała opinię publiczną. Pasowała do barwnego życia Valentego i jego spektakularnych sukcesów w biznesie. Słynął on z nadzwyczajnej inteligencji i nosa do interesów, ale jeszcze bardziej z bezwzględności. Klan Barbierich miał szczęście, że znalazł w swoim drzewie genealogicznym taką kurę znoszącą złote jajka akurat w chwili, gdy trzeba było ratować rodzinną fortunę. Sukces Valentego był marnym pocieszeniem dla jego krewnych, gdyż patriarcha rodu zaczął jawnie faworyzować swojego genialnego wnuka. W końcu wydziedziczył pozostałych potomków, by Valente mógł odziedziczyć po nim cały majątek, poza tytułem szlacheckim.

Valente Lorenzatto stał się bohaterem krzykliwych artykułów w brukowcach. Ze wsząd rozlegały się głosy, że jako spadkobierca powinien przyjąć nazwisko Barbieri. Valente, który nie znosił narzucania mu czegokolwiek, argumentował w sądzie, że jest dumny ze zwyczajnego nazwiska po matce - Lorenzatto - i że przyjęcie nazwiska Barbieri byłoby znieważeniem jej pamięci i wszystkiego, co zrobiła dla syna. Tym oświadczeniem podbił czułe serca włoskich matek. Wygrał sprawę, zyskał popularność,

wielcy tego świata szukali z nim kontaktu, dziennikarze cytowali jego opinie, a on umiejętnie ich wykorzystywał do autopromocji. A że był wyjątkowo fotogeniczny, media go uwielbiały.

Odesławszy adwokata, Valente wyszedł na balkon zaczerpnąć świeżego powietrza. Stąd miał zapierający dech w piersiach widok na wenecki Canale Grande. Barbieri byli w szoku, gdy odrestaurował Palazzo Barbieri i uczynił z niego siedzibę swojej firmy, powracając do średniowiecznych kupieckich tradycji rodzinnych. Tylko część obszernej rezydencji przeznaczył na mieszkanie. Był przede wszystkim weneccjaninem, a dopiero potem Włochem. Wzorem dziadka Ettorego chciał zachować *palazzo* dla przyszłych pokoleń.

Popijał mocną kawę, ciesząc się chwilą, na którą czekał pięć długich lat. Został właścicielem firmy Hales Transport, doprowadzonej do ruiny przez nieudolnego Matthew Bailey'a. Do niego należał też niszczący dom zwany Winterwood. Valente nie był z natury ani cierpliwy, ani mściwy. Nie szukał zemsty na własnej rodzinie, która zostawiła jego chorą matkę na pastwę losu. Zmuszona okolicznościami biedaczka musiała pracować jako służąca, by utrzymać siebie i syna. Valente żył terażniejszością. Uważał, że zemsta to strata czasu. Lepiej zapomnieć o przeszłości i iść naprzód.

W ciągu pięciu lat nie spotkał kobiety, która działałaby na niego równie mocno jak jego była angielska narzeczona Caroline Hales. Ta filigranowa artystka o jasnych włosach i rozmarzonych oczach, płacząca nad każdym skrzywdzonym zwierzęciem, bez słowa wyjaśnienia porzuciła go przed ołtarzem dla bogatszego mężczyzny z lepszej rodziny.

Pięć lat temu Valente był zwykłym kierowcą ciężarówki, który z trudem godził pracę ze studiami na wydziale zarządzania. Popełnił błąd i zakochał się na zabój w córce właściciela Hales Transport. Caro, bo tak nazywali ją bliscy, od samego początku wodziła go za nos, jednocześnie spotykając się z Matthew Bailey'em. Choć twierdziła, że kocha Valentego, wyszła właśnie za Matthew.

Valente sycił się myślą o ukaraniu Caro. Nie był już biedny. I miał władzę. To właśnie furia i wściekłość na kobietę, którą tak kochał, a która leżała naga w ramionach innego, popchnęła go do działania. Już wkrótce Caroline będzie leżeć w jego ramionach.

Valente uśmiechnął się posepnie.

Mógł sobie przynajmniej zagwarantować, że kiedy zdejmie z niej żałobny wdowi strój, Caro będzie ubrana wedle jego gustu. Telefonicznie złożył u właściciela najbardziej ekskluzywnego butiku z bielizną we Włoszech specjalne zamówienie na pastelowe kolory, najlepszej jakości materiały i delikatne koronki. Podnieciła go myśl o Caro paradującej przed nim w prześwitującej bieliźnie. Uznał, że jest zbyt wyposzczony, by zachować spokój. Zanim poleci do Anglii, gdzie odbierze swojej nowej kochance cały majątek, odwiedzi Agnese, swoją obecną partnerkę seksualną.

Nadeszła chwila, na którą czekał od pięciu lat.

Wybrał numer i wcisnął klawisz „Połącz”.

Dwadzieścia cztery godziny wcześniej Caroline Bailey, z domu Hales, prowadziła burzliwą rozmowę z rodzicami.

- Wiedziałam o naszych kłopotach w zeszłym roku! A kiedy ty zastawiłeś dom? - pytała rozgoryczona.

- Jesienią. Firma potrzebowała kapitału. Pożyczkę mogliśmy uzyskać tylko pod zastaw domu. Nic nie można teraz z tym zrobić. Straciliśmy wszystko, Caro. Nie mogliśmy spłacać rat i bank przejął nasz dom. - Joe Hales opadł ciężko na fotel.

- Dlaczego wtedy mi o tym nie powiedziałeś?! - rzuciła rozgniewana.

- Dopiero co pochowałam męża. Miałaś dość swoich zmartwień - przypomniał jej ojciec.

- Mamy tylko dwa tygodnie na wyprowadzkę! To jakiś koszmar! - zawołała Isabel Hales.

Drobna jasnowłosa kobieta dobrze po sześćdziesiątce, o twarzy bez zmarszczek i mimiki, sugerującej liczne i skuteczne interwencje chirurga plastycznego, była przeciwieństwem swojego wysokiego tęgiego męża o rumianym licu.

W geście pocieszenia Caroline ścisnęła ojca za ramię. Powstrzymała się jednak przed objęciem zapłakanej matki. W przeciwieństwie do niej zawsze była czuła i ciepła. Ojciec wzrastał w bezpiecznym domu jako syn największego pracodawcy w okręgu, podczas gdy matkę wychowali ambitni rodzice, niezadowoleni ze swojego niskiego sta-

tusu społecznego i materialnego. Isabel była ich nieodrodną córką. Miała te same aspiracje i ten sam nabożny stosunek do bogactwa.

Pozornie niepasujący do siebie John i Isabel stworzyli całkiem zgodne stadło. Ich jedynym zmartwieniem była bezpłodność Isabel. Mieli ponad czterdzieści lat, gdy adoptowali Caroline, wtedy trzyletnią dziewczynkę. Dali jej szczęśliwe dzieciństwo, zapewnili doskonałe wykształcenie. Caroline bardziej była związana z dobrotliwym ojcem niż z krytyczną i ambitną matką. Nie podzielała ani jej aspiracji, ani zainteresowań. Jej poglądy i wybory życiowe budziły niepokój obojga rodziców.

- Tylko dwa tygodnie na wyprowadzkę? - głos Caroline łamał się z emocji.

- Dobrze, że mamy chociaż tyle. W zeszłym tygodniu rzeczoznawca obejrzał dom i przedstawił ofertę naszym wierzycielom. Zgodzili się. Obchodzi ich tylko odzyskanie pieniędzy. Dobrze, że znaleźli kupca na Hales Transport.

- I tak już dla nas za późno - warknęła Isabel.

- Straciłem firmę założoną przez mojego ojca. Wyobrażasz sobie, jak bardzo mi wstyd? - westchnął ciężko jej mąż.

Caroline milczała. Gdyby rodzice nie ukryli przed nią faktu wzięcia pożyczki pod zastaw domu, ostrzegłaby ich przed tym krokiem. Zastanawiała się, czy jej matka, przywiązana do imponującej rezydencji i wygodnego życia, naciskała ojca, by ratował firmę za wszelką cenę. Niestety, ojciec nigdy nie umiał właściwie ocenić sytuacji.

Odziedziczył Hales Transport po swoim ojcu. Dotąd nie musiał się martwić o pieniądze. Żona, przekonana, że osobiste zarządzanie firmą transportową obniża ich status społeczny, namówiła go, by zatrudnił Gilesa Sweetmana, świetnego dyrektora, a sam zajął się grą w golfa i łowieniem ryb. Przez lata firma przynosiła imponujące zyski. Do kryzysu doprowadziły dwa zdarzenia.

Giles Sweetman oszedł niemal z dnia na dzień do nowej pracy. Zastąpił go nieżyjący obecnie mąż Caroline, który okazał się nieudacznikiem. Potem na lokalnym rynku pojawił się żądny sukcesu drapieżny konkurent. Halesowie tracili kontrakt za kontraktem. Nie pomogła nawet redukcja zatrudnienia.

- Dwa tygodnie to za mało. Kto nas przejął? Mogę poprosić o więcej czasu - powiedziała Caro.

- Nie jesteśmy już właścicielami domu, nie możemy o nic prosić - odparł cierpko ojciec. - Mam nadzieję, że nabywca nie zwolni reszty pracowników i nie odsprzeda firmy temu, kto zaoferuje najwięcej.

Zmartwiona Caroline patrzyła na swoich rodziców. Starzy i schorowani nie mieli dość siły na zmierzenie się z takim stresem. Ojciec cierpiał na dusznicę bolesną. Matka miała artretyzm. Samo przejście przez pokój sprawiało jej ból.

Rezydencja Winterwood powstała na początku ubiegłego wieku dla licznej rodziny ze służbą. Była za duża dla jej rodziców, ale Isabel chciała imponować otoczeniu namacalnym dowodem swojego statusu społecznego. Nowy właściciel może zburzyć dom i zbudować tu coś innego. Caroline poczuła ukłucie w sercu na myśl, że dom jej dzieciństwa mógłby zniknąć z powierzchni ziemi.

- Nie powinnaś się była wyprowadzać z domu rodzinnego Matthew. Teraz będziesz się tułać wraz z nami - wytknęła córce Isabel.

- Ciągle trudno mi uwierzyć, że Matthew zostawił ci tylko długi. Miałem o nim nieco lepsze mniemanie. Obowiązkiem męża jest zabezpieczyć przyszłość żony - dodał Joe.

- Nie spodziewał się, że umrze w tak młodym wieku. - To była zwykła odpowiedź Caroline na tego typu wyrzuty. Miała doświadczenie w ukrywaniu tajemnic swojego nieszczęśliwego małżeństwa. - Szkoda tylko, że nie kupił dla nas domu. Mielibyśmy teraz gdzie mieszkać.

- Baileyowie powinni ci okazać więcej troski. Ty nawet nie poprosiłaś ich o pomoc - powiedziała Isabel z wyrzutem.

- Ostatecznie spłacili jego długi. Nie zapominaj, że mieli udziały w naszej firmie i stracili mnóstwo pieniędzy - przypomniała Caroline.

- Jakie to ma teraz znaczenie, skoro my straciliśmy wszystko? Oni nadal mają dom i służbę. A my nic! Moje przyjaciółki już do mnie nie dzwonią. Nikt nie chce się zadować z bankrutami! - odparła Isabel.

Caroline zacisnęła zęby. Przyjaźnie jej matki były płytkie, oparte na statusie majątkowym. Isabel bankrutka została skreślona z listy mile widzianych gości. Kobiecie w

jej wieku trudno się było pogodzić z pozycją pariasa. Czasy ekskluzywnych rozrywek, strojów i wakacji minęły, jak się wydawało, bezpowrotnie.

Po tej rozmowie Caroline wróciła do swojej pracowni, która powstała po przebudowie budynku gospodarczego na tyłach domu. Tam robiła artystyczną biżuterię według własnych projektów, którą potem sprzedawała w internecie. Była to praca wymagająca bystrego oka, pewnej ręki i koncentracji. Koko, jej kotka syjamska, usiadła niczym wartowniczką na ławce obok swej pani. Caroline poczuła znajome ściskanie w skroniach. Wiedziała, że zbliża się kolejny atak migreny. Skończyła pracę, wzięła lekarstwo i położyła się na kanapie.

Stres nie pozwalał jej zasnąć. Postanowiła, że jutro zacznie szukać nowego lokum. Wiedziała, że nie będzie to łatwe. Potrzebowała też miejsca do pracy. Sprzedaż biżuterii była w tej chwili jedynym źródłem utrzymania jej rodziny, nie licząc niewysokiej emerytury rodziców.

Następnego ranka Isabel Hales weszła do kuchni, gdzie córka przygotowywała śniadanie.

- Jak myślisz, czy rodzice Matthew udzieliliby nam pożyczki ze względu na ciebie?

- spytała.

- Nie sądzę. Spłata długów syna była dla nich punktem honoru. Nie szastają pieniędzmi, jeśli nie leży to w ich interesie.

- Gdybyś urodziła im wnuka, byłoby inaczej.

- Wiem. - W oczach Caroline zaśniły łzy.

Baileyowie wytknęli jej to samo. Zawiodła ich jako synowa. Insynuowali, że gdyby była lepszą żoną, Matthew spędzałby w domu więcej czasu. Kusilo ją, żeby powiedzieć im prawdę o jej małżeństwie, ale litościwie milczała. Nie chciała dobijać rodziców swojego zmarłego męża.

- Nigdy nie myślałaś o przyszłości - westchnęła Isabel.

Wspierając się na lasce, powoli pokuśtykała ku wyjściu.

Caroline odprowadziła ją smutnym wzrokiem. Z powodu kłopotów ze zdrowiem jej rodzice spali w pokoju na parterze. Joe był na liście oczekujących na wszczepienie

bypassów. Dom już się dla nich nie nadawał. Ale samodzielna decyzja o wyprowadzce ze względów zdrowotnych to coś zupełnie innego niż wyrzucenie z domu po czterdziestu latach.

Koko ocierała się o kostki Caroline, miauczeniem domagając się uwagi. Caro zagadała pieszczotliwie do swojej ulubienicy. Zrezygnowała ze śniadania i postanowiła ułożyć listę pilnych spraw do załatwienia. W kwestii nowego miejsca do zamieszkania czas, koszty i lokalizacja były najważniejszymi czynnikami. Rodzice nie będą chcieli wyprowadzić się z tej okolicy. Trudno będzie znaleźć odpowiedni dom.

Caroline kochała swoich adopcyjnych rodziców. Chociaż kiedyś dali jej bardzo złą radę, zawsze chcieli dla niej jak najlepiej, Teraz oni polegali na niej i czuła, że powinna spłacić swój dług wobec nich.

Myła naczynia, gdy zadzwonił telefon.

- Odbierzesz? - zawołała do ojca czytającego gazetę w pokoju obok.

Po chwili usłyszała poruszone głosy rodziców. Zaniepokojona wytarła ręce i stanęła w progu pokoju.

- Valente Lorenzatto - powiedziała drżącym głosem matka, podając jej bezprzewodowy telefon.

Caroline zamarła. Mimo upływu lat to imię robiło na niej piorunujące wrażenie. Kiedyś kochała go nad życie. I potraktowała w niewybaczalny sposób. Nie wiedziała, po co miałby się z nią kontaktować.

Wzięła od matki telefon i wyszła do holu.

- Słucham? - wyszeptała przez ściśnięte gardło.

- Chcę się z tobą spotkać. Jako nowy właściciel Hales Transport i twojego rodzinnego domu mam do omówienia parę spraw - oznajmił bez wstępów Valente z charakterystycznym przeciąganiem samogłosek.

- Jesteś właścicielem firmy i domu? - powtórzyła zszokowana.

- Zdumiewające, co? Mówiłem, że zbiję fortunę. Szkoda, że pięć lat temu postawiłaś na złego konia. - Jego wystudiowany spokój kontrastował z jej napięciem nerwów.

Caroline omal nie parsknęła śmiechem na widok min rodziców, którzy najwyraźniej usłyszeli jej ostatnie słowa. Ich twarze zastygły w przerażeniu na myśl, że to właśnie Valente Lorenzatto pozbawił ich dorobku życia.

- To nie może być prawda! - zawołała Isabel.

Caroline szczerze pragnęła, żeby matka miała rację. Ale dawno temu przeczytała o milionowej transakcji, jaką przeprowadził Valente. Zapłaciła za to wysoką cenę, gdy Matthew odkrył, że szukała w internecie informacji o niedoszłym mężu. Nigdy więcej nie pozwoliła sobie na tę niezdrową ciekawość, nawet po jego śmierci.

- Był zwykłym kierowcą ciężarówki. Niemożliwe, żeby aż tyle zarobił! - wtórował jej Joe.

Caroline zasłoniła telefon, by Valente nie słyszał tych komentarzy. O tym, że ojciec jej ojca też był kierowcą ciężarówki i stworzył firmę od zera wyłącznie dzięki ciężkiej pracy, nigdy się nie mówiło. Isabel i Joe wstydzili się swoich niskich koneksji. Byli snobami. Oceniali Valentego wyłącznie na podstawie jego pochodzenia i zajęcia. Podziwiali rodziców Matthew, którzy chodzili do prywatnych szkół i mieli w rodzinie ludzi z tytułami szlacheckimi.

Caroline wyszła do drugiego pokoju.

- Po co chcesz się ze mną widzieć? - spytała półgłosem.

- Dowiesz się na miejscu. Jutro o jedenastej w biurze twojego męża - rzucił i rozłączył się.

- Daj mi telefon. - Ojciec wyjął jej aparat z ręki.

Po chwili rozmawiał ze swoim adwokatem.

- Ten włoski chłopak musiał się dowiedzieć, że owdowiałaś - powiedziała Isabel. - Cały on. Czemu nie może cię zostawić w spokoju?

- Nie wiem. - Nie bawiło jej to, że matka nazwała chłopcem trzydziestojednoletniego mężczyznę mającego prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Valente nigdy nie był chłopcem. Był nad wiek dojrzały. Sugestia, że nadal żywi do niej jakieś uczucia, wydawała się nedorzeczna.

- Cały nasz majątek przejął włoski koncern o nazwie Zatto Group - oznajmił z poszarzałą twarzą.

Z całej trójki Caroline była tym najmniej zaskoczona.

ROZDZIAŁ DRUGI

Na spotkanie z Valentem Caroline włożyła czarną dopasowaną spódnicę, żakiet i kremową jedwabną bluzkę. Ze spiętymi włosami i lekkim makijażem maskującym bladłość i podkrążone oczy po nieprzespanej nocy wyglądała na zmęczoną.

- Dzień dobry, pani Bailey. Ekscytujący dzień, prawda? - powitała ją recepcjonistka Jill.

- Dlaczego? - Caroline zamrugła powiekami.

- Czekamy na nowego szefa. Będziemy częścią koncernu wartego miliardy. To dla nas dobra wiadomość.

- Niekoniecznie - wtrąciła starsza recepcjonistka Laura. - Słyszałaś o „nowej miotle”? Możemy stracić pracę. Nie wiadomo, czy za pół roku firma będzie jeszcze istnieć.

Caroline przeszedł dreszcz.

- Bądźmy dobrej myśli - odparła, sama nie wierząc w te słowa, po czym zajęła fotel w holu.

- Może pani zaczekać w gabinecie, zna pani drogę - rzuciła Jill.

- Pani Bailey będzie lepiej tutaj. - Laura obrzuciła koleżankę gniewnym wzrokiem.

- Tak, dziękuję - odparła pośpiesznie Caroline.

Gorąco jej się zrobiło od ciekawskich spojrzeń pracowników idących ku schodom.

Unikała przychodzenia do firmy w ostatnich miesiącach życia Matthew i po jego śmierci, jaką poniósł w wypadku samochodowym. Nie chciała być obiektem plotek. Jej teściowie i rodzice ostro ją za to krytykowali, ale ona nie zamierzała odgrywać pograżonej w żałobie wdowy.

Inni na pewno wiedzieli albo podejrzewali, że Matthew miał drugie życie. Z czasem przestał się z tym kryć. Upokorzenia i doznany wstyd zostawiły w jej sercu trwałe ślady. Była głupia, ślepa i naiwna. Trudno uwierzyć, że kiedyś Matthew był jej najlepszym przyjacielem.

- Już jest! - zawołała młodsza z recepcjonistek na widok ciemnej limuzyny, za którą jechały dwa mercedesy.

Wysiedli z nich mężczyźni w garniturach, stanęli na schodach, po czym rozstąpili się niczym Morze Czerwone przed wysoką postacią w kaszmirowym płaszczu.

- Jest jeszcze przystojniejszy niż na zdjęciach - westchnęła Jill.

Caroline zaparło dech w piersiach na widok pociągłej twarzy i zaczesanych do tyłu niesfornych, kręconych czarnych włosów. Kiedyś nosił jeszcze dłuższe. Uwielbiała zanurzać w nich palce. Był nadzwyczaj przystojny. Miał ciemne oczy, które chwilami stawały się złociste, równe brwi i klasyczny rzymski nos. W doskonale skrojonym garniturze emanował elegancją i pewnością siebie, która czyniła z niego stuprocentowego Włocha. Przypomniała sobie, że nawet w dżinsach i swetrze wyglądał jak model na wybiegu.

- Witaj, Caroline. Pozwól ze mną do gabinetu, musimy porozmawiać - rzucił nie-
dbale.

Wszystkie głowy zwróciły się w jej kierunku. Nieformalny ton Valentego wskazywał, że nie są sobie obcy. Miała nadzieję, że ludzie zdążyli zapomnieć o tamtej historii, za którą Valente miał prawo ją znienawidzić. Rozdarta między miłością do niego a miłością do bliskich, próbowała zadowolić każdego, a w rezultacie nie zadowoliła nikogo.

Valente otaksował spojrzeniem jej ciemny zakiet i splecione niczym u uczennicy włosy. Przy jasnej karnacji Caroline czerń nadawała jej wygląd zjawy. Chciał ją zobaczyć inną, bez śladów żałoby. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy wręczy jej koronkową bieliznę.

Jeden z asystentów otworzył im drzwi gabinetu, który zdradzał zamiłowanie Matthew do nowoczesnego wystroju wnętrza. Urządzenie go kosztowało majątek.

Valente rzucił płaszcz i spojrzał na Caroline. Promienie słońca rozświetlały jej jasną głowę. Patrzyła na niego jasnoszarymi oczyma pełnymi napięcia. Poczł przyływ podniecenia.

Z Caroline działo się coś dziwnego. Myślała, że nigdy więcej tego nie poczuje. Matthew powiedział, że jest beznadziejna w łóżku i że go nie pociąga. Nie chciał nawet dzielić z nią sypialni. Był szczery do bólu, wręcz okrutny. Co za ironia losu, że jej ciało

zareagowało na mężczyznę, który mógł się okazać zdolny do jeszcze większego okrucieństwa.

- Masz teraz wszystko - powiedziała bezbarwnym tonem, starając się zapanować nad swoimi reakcjami.

- *Si, piccola mia*. Powinnaś bardziej we mnie wierzyć - odrzekł z ledwo wyczuwalną ironią.

Bładość jej skóry, kolor oczu, różowość warg, subtelny profil, poruszenia długich rzęs, nerwowe napięcie mięśni wokół ust budziły w nim instynkty drapieżcy. Wiedział, że to tylko fasada, za którą kryje się naciągaczka o zdolnościach aktorskich. Fizycznie i psychicznie była jego przeciwieństwem, a jednak jej widok wzbudził w nim prawdziwą żądzę.

- Co chcesz powiedzieć? Że powinno mi być przykro? Jest mi przykro i...

- Nie chcę twoich przeprosin - przerwał jej ostro.

Jej twarz była pozbawiona emocji, tylko oczy zdradzały niepokój. Zmieniła się. Chyba przestała być rozpieszczoną córeczką starych rodziców i stanęła na własnych nogach. Nogach w praktycznych płaskich czółenkach, które dla niego były równie seksowne jak domowe kapcie.

Pomyślał, że najchętniej spaliłby całą jej nieinteresującą garderobę.

- Nie wiem, czemu przejąłeś majątek mojej rodziny. I po co w ogóle to spotkanie.

- To proste. Liczę, że dojdziemy do porozumienia i każde z nas dostanie to, na czym mu najbardziej zależy. Ja chcę cię mieć w łóżku.

- To żart?

- Traktuję swoje życie seksualne zbyt poważnie, żeby z niego żartować. Niestety, nie mam dla ciebie zbyt wiele czasu dziś rano. Inne sprawy czekają. Wiem, że ty i twoi rodzice przeżywacie teraz trudne chwile.

- Tak.

Caroline zastanawiała się, jak zareagować, jeśli Valente ponowi swoją szokującą propozycję. Powiedzieć mu, że jest ostatnią kobietą zdolną zaspokoić mężczyznę?

- Mogę zaradzić tej sytuacji. Musiałabyś mnie przekonać, że warto.

- Nie jestem w stanie do czegokolwiek cię przekonać. I nie rozumiem podtekstu.

- Jesteś mi winna noc poślubną, której mi odmówiłaś przed laty.

- Przecież się wtedy nie pobraliśmy! - odparła z oburzeniem Caroline.

- Owszem, ale ja nie przestałem cię pragnąć. Od twojej odpowiedzi zależy los wszystkich ludzi związanych z tą firmą.

- Odpowiedzi na jakie pytanie? - spytała, marszcząc brwi.

- Już ci powiedziałem, czego chcę.

- Seksu? - Caroline potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

Valente był młody, przystojny i bogaty. Mnóstwo pięknych kobiet bez wahania zgodziłoby się na seks bez zobowiązań. Czemu przyszedł z tym do niej?

- Stawiam sprawę jasno: chcę, żebyś została moją kochanką.

Caroline wydała z siebie histeryczny śmiech. Przestraszona własnymi emocjami, pospiesznie podeszła do okna. Dlaczego chciał zrobić z niej swoją kochankę? Tak, pięć lat temu był na nią napalony. Nie poszła z nim na całość, ale na wspomnienie tamtych emocji poczuła gorącą falę w dole brzucha. I wtedy, i teraz pytała siebie, czy Valente straciłby nią zainteresowanie, gdyby się z nim przespała. Może byłby nią tak samo rozczarowany jak Matthew? Skarciła się za te myśli. Nie chciała wspominać swojego białego małżeństwa.

- Zawiódłbyś się. Nie sprawdziłabym się w tej roli. Niektóre kobiety lubią seks, inne nie bardzo. Ja należę to tej drugiej kategorii - odparła drżącym głosem.

Valente podszedł do niej, położył jej dłonie na ramionach i odwrócił ją ku sobie. Jego bliskość i subtelny zapach wody kolońskiej przyprawiły ją o zawrót głowy.

- Nie mogłabyś mnie zawieść. A Matthew zawiódłś?

Gwałtownie strząsnęła z siebie jego ręce, cofnęła się i odwróciła do niego plecami.

- Co mam powiedzieć, żeby cię przekonać?

- Bardziej przekonują czyny niż słowa. Jedź ze mną do hotelu i zademonstruj swój brak predyspozycji.

- Masz mnie za dziwkę? - Szare oczy Caroline miały błyskawice.

- To się jeszcze okaże. Nie zapominajmy, że pięć lat temu sprzedawałaś się lepszemu oferentowi.

Caroline zbladła jak kreda.

- To nie było tak.

- A może nie chcę wiedzieć, jak było? Cieszę się, że los mnie ustrzegł przed małżeństwem z tobą. Nie chcę naciągaczki za żonę.

- Jak śmiesz? Nie dla pieniędzy wyszłam za Matthew! - krzyknęła, czerwieniejąc z oburzenia.

- Dla statusu społecznego? - rzucił ironicznie i zerknął na zegarek. - Mogę ci poświęcić jeszcze dwie minuty. Nie kłóć się ze mną. Nie chciałem cię urazić. Oferuję sporą sumę za to, żeby mieć cię w łóżku.

- Nie możesz mnie kupić!

- Jeśli odmówisz, zamknę firmę i zwolnię wszystkich pracowników. I palcem nie kiwnę, żeby ulżyć niedoli twoich rodziców.

- To byłoby niemoralne i niesprawiedliwe. - Caroline z trudem poruszała pobladłymi wargami.

- Jeśli się zgodzisz, zainwestuję w ten biznes i doprowadzę go do rozkwitu. I pozwolę twoim rodzicom mieszkać w Winterwood na mój koszt.

- To szantaż! - zawołała oburzona.

- Czyżby? Zależy, czego ty chcesz. Jeśli się zgodzisz na moje warunki, niczego ci nie zabraknie. To wspaniałomyślna oferta z mojej strony, bo nie mam powodów, żeby cię lubić, nie mówiąc o szacunku.

- Więc nie możesz aż tak mnie pragnąć.

- Ale pragnę. Gust trudno wyjaśnić. - W jego oczach pojawiły się złotawe iskierki. Złapał ją za rękę i pociągnął ku sobie, wyrwała się jednak i oparła plecami o ścianę.

- Co w ciebie wstąpiło? Myślałaś, że coś ci zrobię?

Samą Caroline zaskoczyła ta odruchowa reakcja.

- Nie, nie. Przepraszam, ale dawno nikt mnie nie dotykał.

Valente obserwował ją uważnie, wyczuwając coś więcej. Była spięta i nerwowa. Inna niż tamta opanowana dwudziestojednoletnia kobieta, którą pamiętał. Ale cicha woda brzegi rwie. Nie chciał wiedzieć, jak wyglądało jej małżeństwo. Domyślał się jednak, że związek z przyjacielem z dzieciństwa nie był pasmem szczęścia. Bailey źle zarządzał

firma, trwonil nie swój majątek na luksusy i zostawił żonę bez grosza przy duszy. Krążyły też plotki o jego niewierności.

- Naprawdę nie wiem, co mi się stało - powtórzyła.

Odsunęła się od ściany, wygładziła spódnice i przywołała na usta blady uśmiech. Nie mogła znieść, że z powodu jej zachowania Valente domyśli się, jaką jest osobliwością wśród innych kobiet. To był jej wstydlivy sekret. Jak inaczej można nazwać to, że po czterech latach małżeństwa nadal była dziewicą?

- Nie? - Valente postąpił krok naprzód.

Wziął ją za ręce i znów przyciągnął ku sobie. Pochylił się ku jej wargom i dotknął ich delikatnie. Jej strach ustąpił miejsca zaskoczeniu. Stała nieruchomo w oczekiwaniu na to, co się wydarzy.

Zapomniała już, jak smakują pocałunki Valentego. Jego oddech muskał jej policzki. Cytrusowy zapach wody kolońskiej przyprawiał o zawrót głowy. Drżała na całym ciele. Nie usiłował jej przytrzymać. Świadomość swobody ruchu uspokoiła ją. Przysunęła się nieco. Z narastającą pasją pogłębił pocałunek. Z jej gardła wydobył się cichy jęk.

Valente oderwał się od niej i obrzucił badawczym spojrzeniem. Skonstatował z satysfakcją, że mimo napięcia i nerwowości ciągle była gorąca i reagowała na niego. Podniecony jej bliskością najchętniej rzuciłby ją teraz na biurko.

- Czas minął, *piccola mia* - powiedział na dźwięk cichego pukania do drzwi.

Caroline wygładziła nerwowo spódnice.

- Chyba nie mówiłeś poważnie, że... - urwała zakłopotana.

- W przeciwieństwie do ciebie bardzo lubię seks - odparł z kamienną twarzą.

Patrzył, jak pąsowieje. Dziwił się, że po paru latach małżeństwa z prostytutką nadal jest taka pruderyjna. Jej zachowanie powiedziało mu coś więcej. Najwyraźniej Bailey okazał się kiepski w sypialni. To było bardzo cenne spostrzeżenie dla Valentego, który umiał zadowolić kobietę.

Do gabinetu wszedł młody mężczyzna. Otworzył usta, lecz Valente dał mu znak, by milczał.

- Abramo, wiem, że jestem spóźniony. Odprowadź panią Bailey do auta.

- To niepotrzebne. Musimy porozmawiać o tym, co powiedziałeś - zaproponowała Caroline.

- Tu nie ma miejsca na negocjacje. Zobaczymy się o czwartej w Winterwood.

- Co?!

- To teraz moja własność. Oprowadzisz mnie. I uprzedź rodziców, że nie skorzystam z wejścia dla dostawców, *piccola mia*. - Jego bezlitosny uśmiezek sprawił, że cofnęła się oburzona.

- Pani Bailey? - ponaglił ją asystent, trzymając otwarte drzwi.

Caroline nie miała wyboru. Wyszła z biura Valentego, trzęsąc się z wściekłości. Nigdy nie przeklinała, ale dziś chciała obrzucić Valentego wyzwiskami, złapać go za klapy drogiej marynarki, przycisnąć do ściany i zmusić, żeby jej wysłuchał.

Kierowany chęcią zemsty Valente nie chciał jej słuchać. Pięć lat temu porzuciła go przed ołtarzem. Okoliczności sprawiły, że nie mogła go uprzedzić wcześniej i w kościele doznał wielkiego upokorzenia. Chociaż po fakcie przedstawiła mu okoliczności łagodzące, on nadal nosił zadrę w sercu. Walczył o nią i przegrał. Duma nie pozwalała mu przełknąć porażki.

Valente dorastał w biedzie. Nawykły do walki o przetrwanie, wyrobił w sobie siłę i twardość, które tak ją onieśmieliły podczas pierwszego spotkania. Nie bawił się w subtelności. Jawnie potępiał jej ciągle posłuszeństwo rodzicom, którzy robili wszystko, by ich rozdzielić.

- Jeśli naprawdę mnie kochasz, pokonasz wszystkie przeszkody - mówił jej wtedy.

Wychowana w ciepłarnianych warunkach nie miała jego siły, stanowczości i zdolności lekceważenia uczuć tych, którzy nie podzielali jego zdania.

Myślami wróciła do tamtych dni. Po odbyciu praktyki u projektanta biżuterii planowała otworzyć własny biznes, chociaż jej rodzice liczyli, że będzie brylować wśród miejscowej socjety i znajdzie odpowiedniego męża. Nie chcąc ich prosić o pieniądze, podjęła biurową pracę w Hales Transport, co jeszcze bardziej ich rozdrażniło.

Dwa dni po rozpoczęciu pracy Caroline po raz pierwszy zobaczyła Valentego Lorenzatto. Jej uwagę zwrócił najpierw jego szczególny akcent. Wtedy podniosła wzrok znad papierów. Valente zignorował jej zalotną koleżankę i zmierzył Caroline taksującym

spojrzeniem. Pod wpływem tego spojrzenia Caroline straciła głowę. Nieważne, kim był. W tamtej chwili poszłaby za nim na koniec świata.

- A ty jak masz na imię? - spytał.

- Caroline...

- Córka szefa - rzucił ostrzegawczo jeden z kierowców, przyprawiając ją o rumieniec wstydu.

- Do zobaczenia, Caroline - powiedział Valente.

Od tembru jego głosu przeszły ją ciarki.

Przez całe popołudnie wracał do niej obraz szczupłej smagłej twarzy, wąskiego nosa i zmysłowych ust. Mimo dwudziestu jeden lat zakochała się w Valentem Lorenzatto jak pensjonarka.

Brak doświadczenia czynił z niej pensjonarkę. Wychowana pod kloszem, nie pasowała do atmosfery szkoły artystycznej. Odstępowała ją nachalna seksualność chłopców. Rzadko chodziła na randki. Kiedy potrzebowała partnera na bardziej oficjalne okazje, zapraszała Matthew Bailey'a, chłopca z sąsiedztwa i jej najbliższego przyjaciela. Nieśmiała introwertyczka żyła w poczuciu, że zawiodła rodziców wyborem kierunku kształcenia, a potem obiektu uczuć.

W drodze do domu zrobiła zakupy. W kuchni znalazła kartkę od matki informującą o dzisiejszej wizycie ojca w szpitalu. Zupełnie o tym zapomniała. Schowała zakupy i wróciła myślami do rozmowy z Valentem.

Ponad dwieście osób straci pracę. Bezrobocie i strata stałego dochodu wprowadzą zamęt w lokalnej społeczności, która już ucierpiała z powodu upadku innej miejscowej firmy. Może temu zapobiec, godząc się na propozycję Valentego.

Ktoś powinien się poczuwać do odpowiedzialności za błędne decyzje i rozrzutność Matthew. Caroline nie znała się na interesach, ale widziała, co wyprawia Matthew. I lojalnie milczała, nie chcąc martwić rodziców i teściów. Zresztą nikt nie dałby wiary jej słowom. Isabel i Joe idealizowali swojego zięcia, widząc w nim najlepszego biznesmena na świecie.

Valente chciał zrobić z niej swoją kochankę. Aż tak jej pragnął? Po namyśle Caroline uznała, że przemawia przez niego chęć zemsty. Czy dlatego, że kiedyś uraziła jego dumę, mają cierpieć jej rodzice i pracownicy Hales Transport?

Zaśmiała się gorzko. Valente szybko się przekona, że ubił kiepski interes. Niedobrze jej się robiło na samą myśl o tym upokorzeniu.

Z drugiej strony jej intymny związek z Valentem stałby się źródłem rozpacz dla jej purytańskich rodziców, którzy uważali, że tylko bezwstydnice sypiają z mężczyznami przed ślubem. Nie zgodziliby się pozostać w domu będącym własnością kochanka ich córki i utrzymywanym przez niego.

A gdyby Valente zgodził się obniżyć swoje wymagania i zadowolił się jednonocną przygodą? Czy nie zażąda zwrotu pieniędzy, kiedy się okaże, że nie dała mu rozkoszy?

Poczuła się jak dziwka. Z drugiej strony ciało to tylko ciało, powiedziała sobie. Mało prawdopodobne, żeby Valente okazał się agresywny. Chciał, żeby go pragnęła i cierpiała, kiedy on ją porzuci. Matthew nie szukałby sobie kochanek, gdyby była dobrą żoną. Ciągle jej to powtarzał. Trudno było żyć z tą świadomością.

Jednak Valente proponował jej niemoralny układ. Czowała, że w kwestii uczciwości nie jest mu nic winna. Wciągał ją w okrutną grę.

Czy wystarczy jej odwagi, by walczyć o warunki, które będą dla niej do przyjęcia?

ROZDZIAŁ TRZECI

Krótko po czwartej pod Winterwood zajęchały trzy luksusowe auta. Caroline zakładała, że Valente przyjedzie sam. Teraz rozmowa w cztery oczy mogła się okazać niemożliwa.

Z każdego ruchu Valentego emanowała energia drapieżnika. Elegancki ciemny garnitur podkreślał jego szerokie ramiona, wąskie biodra i długie nogi. Tuż za nim weszło do holu trzech mężczyzn, którzy oniemieli na widok wszechobecnego złoceń. Valente patrzył na ten szczyt nowobogackiego bezguścia z ledwo skrywanym rozbawieniem.

Przedstawił Caroline architekta, rzeczoznawcę i właściciela firmy budowlanej, zajmującej się remontami starych posiadłości.

- Obejrzą dom i przygotują wstępne plany. Dobrze by było, gdyby się mogli swobodnie rozejrzeć.

- Oczywiście - odparła spokojnie Caroline, choć przeraziła ją myśl, że Valente już przymierza się do przebudowy domu.

- Gdzie twoi rodzice? - spytał.

Otaksował dopasowane spłowiełe dzinsy i fioletową bluzkę Caroline. Krój bluzki podkreślał jej figurę i drobne piersi, a fiolet tkaniny przydawał blasku jej szarym oczom.

Poczerwieniała pod wpływem tego spojrzenia. Valente zawsze tak na nią działał. Był typem samca alfa, emanującym seksem i witalnością. Robił wrażenie na kobietach w każdym wieku.

- Rodzice pojechali do szpitala. Ojciec ma dziś badania.

- Bez nich będzie nam łatwiej. Zaczynamy. Mam napięty plan.

Poprowadziła go do salonów, które Isabel Hales urządziła po swojemu, nie szczędząc kolorów i upiększeń.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żebyś chciał tu mieszkać. Trudno ci będzie przebudować dom wedle własnego gustu.

- Gdybyś mnie witała, kiedy przyjeżdżałbym tu z wizytą, mógłbym spróbować go polubić. Skąd wiesz, jak ja teraz żyję? - rzucił z sardonycznym uśmiechem.

- Garnitury znanych projektantów i limuzyny mówią same za siebie.

- Dogryzaniem niczego nie wskórasz. Ta posiadłość należy do mnie i mogę z nią zrobić, co mi się podoba.

- Ale moi rodzice...

- Ani słowa więcej! Mam gdzieś łzawe historyjki. - Machnął ręką lekceważąco, gdy chciała poprowadzić go do kuchni, i skierował się od razu ku schodom. - Twoi rodzice nie przepracowali ani jednego dnia. Nie mieli na tyle zdrowego rozsądku, żeby obniżyć standard życia, gdy interesy szły gorzej. Dla mnie są ofiarami własnego braku umiaru.

Caroline w milczeniu przełknęła tę gorzką pigułkę. Nie oczekiwała od Valentego sympatii dla swojej rodziny. Pochodzili z dwóch różnych światów. Jej nigdy niczego nie brakowało, on żył w biedzie, a jego schorowana matka zmarła, gdy miał osiemnaście lat. Tylko naprawdę wielkie nieszczęście wzbudziłoby w nim współczucie.

- Ale nawet oni nie zasłużyli na zięcia, który tak nadużył ich zaufania - rzucił sucho.

Caroline z wrażenia potknęła się na schodach. Valente skoczył ku niej, by ochronić ją przed upadkiem. Na chwilę oparła się o niego całym ciałem. Zadrżała, poczuwszy jego bliskość. Siłą woli nakazała sobie spokój.

- Co ty sugerujesz? - spytała szorstko.

- Twój zmarły mąż był złodziejem, który ciągnął z firmy pieniądze, nawet gdy miała kłopoty.

Na podeście odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz. Złość zabarwiła jej policzki na różowo.

- Bywał rozrzutny, ale nie był złodziejem!

- Moi audytorzy i księgowi pokazaliby ci dowody. Twój mąż otworzył fikcyjne konto firmy i ciągnął z niego przy każdej okazji.

- Jesteś pewien?

- Tak. Dziwne, prawda, *piccola mia*? Twoi rodzice uważali, że ze mną ich mała księżniczka będzie klepać biedę. A z drugiej strony był złoty chłopak po prywatnych

szkołach, który miał lepkie ręce. Nie potrafił trzymać ich z daleka od kasy i swoich pracowników.

Caroline zagotowała się z oburzenia i wymierzyła mu siarczasty policzek.

- Matthew nie żyje. Okaż choć trochę szacunku!

- Nigdy więcej nie waż się mnie uderzyć - ostrzegł ją lodowatym tonem.

Jego oczy miały płomień.

- Zaskoczyłeś mnie. Przepraszam.

- Nie mam szacunku dla twojego męża. Dla ciebie też nie, bo zostałeś z nim do końca, chociaż wiedziałas, do czego jest zdolny. Widziałem twoją minę. Nie zaskoczyła cię informacja o jego chciwości.

- Nie wiedziałam o tym fikcyjnym koncercie - wyszeptała. - Wiedziałam, że jest rozrutny, ale nie miałam pojęcia, że kradnie. Proszę, nie podawaj tego do wiadomości publicznej.

- Nawet martwy Matthew jest święty i nietykalny? - spytał sarkastycznie.

- Jego rodzice nie przeżyją tej hańby. I tak nie można go ukarać. Niech jego rodzina zachowa o nim dobre wspomnienia.

Valentego oburzyła ta prośba. Jak mogła oczekiwać od niego milczenia w sprawie Bailey'a, który zastąpił Valentego w jej sercu i w łóżku?

Caroline wyczytała z jego twarzy i oczu złość. Przystąpiła niepewnie z nogi na nogę. To spotkanie miało przebiec po jej myśli, a szło w złym kierunku.

Z korytarza dobiegły ją ożywione męskie głosy toczące dyskusje, gdzie wygospodarować miejsce na dodatkową łazienkę.

Podjęła błyskawiczną decyzję. Otworzyła drzwi do nieużywanego apartamentu i pociągnęła Valentego za sobą.

- Musimy porozmawiać.

- O czym? Złożyłem ci konkretną propozycję, a ty byłaś niezdecydowana.

Caroline oparła się o drzwi i cicho je zamknęła.

- Nieprawda. Dałam ci jasno do zrozumienia, że twoja propozycja jest nie do przyjęcia.

- Prócz chwili, w której cię pocałowałem - zauważył Valente z niekłamana satysfakcją.

Smukłymi palcami pogładził delikatną skórę po wewnętrznej stronie jej nadgarstka. Zadrżała pod wpływem tego dotyku. O ile on starał się nie krzywić na widok pseudogeorgiańskich kwiecistych panneau na ścianie i bogato zdobionych mebli dalekich od ideału georgiańskiej elegancji, ona nie widziała nic.

Twarz jej płonęła. Caroline wstydziła się swojej reakcji na jego dotyk. Cofnęła rękę. Skoro od niej zależy los pracowników Hales Transport, musi zapomnieć o wyrzutach sumienia. Już ostrzegła Valentego, że jest dziwna. To będzie wyłącznie wina jego uporu, kiedy po fakcie przekona się, że mówiła prawdę. Szantażował ją, musiała więc użyć wszystkich sposobów, by stawić mu opór.

- Nigdy nie zostałąbym twoją kochanką. Moi rodzice by tego nie znieśli. Nie mogliby mieszkać w tym domu na takich warunkach.

- To po co mnie tu wciągnęłaś? - Powędrował spojrzeniem ku ogromnemu łożu, potem utkwiał w niej znaczący wzrok. - Pomyślałem, że chcesz mi wpłacić na konto pierwszą ratę.

Podszedł do drzwi. Wzburzona Caroline zastąpiła mu drogę. Znów sugerował, że jest tanią dziwką. Nienawidziła go za to. Przecież nie dała mu powodu, żeby tak myślał.

- Dlaczego nie chcesz mnie wysłuchać? Zrobię wszystko, żeby chronić pracowników firmy, ale nie każ mi ranić moich rodziców. Zaakceptują tę sytuację tylko wtedy, jeśli bylibyśmy małżeństwem.

Valente odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- *Che idea!* Nie jestem tamtym romantykiem sprzed pięciu lat, kiedy wzbudziłaś we mnie instynkt opiekuńczy. Nie pragnę cię aż tak bardzo, żeby dla ciebie poświęcać swoją wolność.

Caroline zorientowała się, że wziął jej słowa za poważną propozycję. Nie taka była jej intencja. Chciała tylko podkreślić, że rodzice zaakceptowaliby jej związek z Valentem i jego pomoc finansową tylko wtedy, gdyby był jej mężem. Tak naprawdę perspektywa ponownego małżeństwa i spełniania męskich zachcianek budziła jej odrazę. Będąc mężatką, czuła się jak w pułapce. Uznała jednak, że wyjście za Valentego będzie lepszym

rozwiązaniem dla jej rodziny niż bycie kochanką, której można się pozbyć w każdej chwili, nie dotrzymując obietnic.

- To nie musiałyby być normalne małżeństwo... takie, które trwa - wyjaśniła.

- *Maledizione!* Naprawdę sądzisz, że bym się z tobą ożenił? Rozumiem, skąd ten pomysł. Rozwód zapewniłby ci miliony. Oboje wiemy, że zrobisz wszystko dla takich pieniędzy.

- W dzisiejszych czasach można się przed tym zabezpieczyć w umowie przedślubnej. Możesz w to nie wierzyć, ale nie chcę twoich przeklętych pieniędzy.

- Nie zniżę się do ślubu z tobą! Jesteś kłamliwą, interesowną jędzą. Zapomnij o małżeństwie.

- To jedyne wyjście, jakie zaakceptuję. - Caroline uniosła wysoko głowę.

- Co ja będę z tego miał, prócz twojego poświęcenia? - rzucił pogardliwie.

- Przyjmij do wiadomości, że nigdy nie będę twoją kochanką. Utknęliśmy w martwym punkcie. - Otworzyła drzwi z godnością, na jaką było ją stać w tej sytuacji.

- Mógłbym chcieć dziecka. Dziedzica, który poszedłby w moje ślady, *piccola mia*.

Czy ta idea trafia ci do przekonania?

- Nie. - Zamarła w drzwiach.

Valente zaśmiał się szyderczo.

- Tak myślałem, ale to moja ostatnia propozycja, *cara mia*. Jeśli wezmę cię za żonę, chcę mieć z tego więcej niż seks. W tej sferze mam nieograniczony wybór. Dziecko osłodziłoby mi gorycz utraty wolności.

- Nie jestem dziwką ani klaczą zarodową.

- Każda kobieta może się zamienić w dziwkę dla właściwego mężczyzny albo dla własnej korzyści. Pragnąłem cię od pierwszego spotkania i nadal cię pragnę. Podniosłaś stawkę. Ja też to zrobię. Rozważę twoją propozycję, jeśli spędzisz dziś ze mną noc w hotelu. - Posłał jej przeciągłe spojrzenie.

Caroline popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Zawsze walczę bezpardonowo. Jeśli oczekujesz obrączki, ja oczekuję przedpłaty za tę transakcję. Do wieczora jestem zajęty. Bądź w hotelu o dziesiątej.

- Nie mogłabym - szepnęła, urażona brutalną sugestią o transakcji.

Znienacka postąpił krok naprzód i zamknął ją w mocnych objęciach.

- Gra skończona, *angelina mia*. To twoja ostatnia szansa.

Siłą woli powstrzymała się przed odepchnięciem go jak napastnika. Jego siła i energia onieśmiały ją. Dotknął wargami jej rozchylonych ust. Tym razem nie zareagowała. Znieruchomiała w jego ramionach jak lalka. Uwolnił ją z objęć i utkwiał badawczy wzrok w jej pobladłej twarzy.

- Czy ta mała demonstracja to twoja ostateczna odpowiedź?

Omam nie potwierdziła. W ostatniej chwili coś kazało jej zachować się inaczej.

- Nie!

Rysy Valentego nieco złagodniały. Odwrócił się do schodzących po schodach mężczyzn. Kilka minut później wszyscy odjechali.

Caroline długo jeszcze patrzyła za samochodami, które dawno już znikły z podjazdu. Propozycja Valentego odebrała jej jasność myślenia. I wtedy zadzwonił telefon.

To byli jej rodzice. Brat ojca, Charles, który mieszkał niedaleko szpitala, zaprosił ich na kolację. Mieli wrócić do domu jutro. Poczwała ulgę. Nie miała ochoty rozmawiać z nimi o Valente i jego wizycie w Winterwood. Musiałaby kłamać.

Nagle uświadomiła sobie, że to ułatwia jej sprawę. Może wyjść, nikomu się nie tłumacząc. Nie, co za niedorzeczność! Nigdzie nie pójdzie. Nie może.

W głębi duszy już dawno doszła do wniosku, że gdyby była żoną Valentego, a nie Matta, jej małżeństwo zostałoby skonsumowane. Była głupia, sądząc, że platoniczni przyjaciele w ciągu jednej nocy zostaną namiętnymi kochankami. Bardziej doświadczone od niej kobiety może umiałyby przeskoczyć tę barierę. Ona nie potrafiła. Była skrepowana i pełna zahamowań. Z Mattem od początku wszystko poszło nie tak. Ustalonego wzorca nie dało się już zmienić.

Czy z Valente byłoby inaczej? Ważne pytanie dla kobiety, która bała się umawiać na randki i uznała, że będzie sama do końca życia. Odsunęła od siebie niemile wspomnienie jego ostatniego pocałunku. Chciała wierzyć, że Valente pomógłby jej wyzbyć się zahamowań. Może wystarczy dodać sobie odwagi kilkoma drinkami?

Wzmocniona sporą ilością wódki Caroline zrezygnowała z konserwatywnej garderoby, przy której upierał się Matthew. Sięgnęła po krótką srebrzystoniebieską sukienkę, którą kupiła, chodząc z Valentem. Dotąd nigdy nie miała jej na sobie. Rozpuściła włosy, tak jak lubił. Cienkie rajstopy i sandaalki na wysokim obcasie dopełniły całości. Na widok swojego odbicia w lustrze zamarała.

Co za kobieta stroi się na jedną noc z mężczyzną, który chce ją wypróbować jak nowy samochód? Tylko desperatka. Z jeszcze większą desperacją chciała się przekonać, czy może być równie seksowna i pożądana jak inne kobiety.

Dawno temu Valente na krótko zmienił ją w kobietę, jaką chciała być: silną, pewną siebie, gotową pokochać i poślubić mężczyznę z innego świata.

Rodzice oszaleli na wieść, że spotyka się z kierowcą zatrudnionym w Hales. Nie znali go, a już nim gardzili. Podejrzewali, że chce wykorzystać Caroline, ożenić się z nią dla majątku, skoro sam nie ma grosza przy duszy. Caroline omal ich nie znienawidziła za te uprzedzenia.

Z oddanej córki stała się buntowniczką. Odmówiła, gdy zażądali, by zerwała z Valentem. Matt też był przeciwny temu związkowi. Był jej bliskim przyjacielem, więc liczyła się z jego zdaniem.

- Nic was nie łączy. Ty miałaś wszystko, on nie miał nic. Jakie życie może ci zapewnić? Jesteś coś winna swoim rodzicom. Pragną, by ich jedyna córka została w Anglii i wyszła za Anglika. Należy im się szacunek - argumentował.

Poczucie winy wobec rodziców szybko zmieniło się we wściekłość, kiedy dla Valentego zabrakło zleceń. Nie wątpiła, że przy rozdziale kursów był celowo pomijany. Właśnie wtedy zgodziła się za niego wyjść, oburzona postępowaniem rodziny.

Otrząsnęła się ze wspomnień. Jeszcze raz spojrzała w lustro i pociągnęła kolejny łyk wódki. Znow będzie silna. Wszystko się zmieni po jednej nocy z Valentem. Czy to takie trudne? Kiedyś kochała go do szaleństwa. A on miał doświadczenie w tych sprawach, więc na pewno pomoże jej się wyluzować.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Spojrzała na zegarek. To na pewno taksówkarz. Ciągle trzeźwa zeszła po schodach. Zastanawiała się, kiedy wreszcie alkohol zadziała i doda jej odwagi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Słuchając raportu o stanie interesów, Valente zerkał ku drzwiom apartamentu. Czuł narastające napięcie. Czy Caroline zdobędzie się na odwagę i przyjdzie?

Uśmiechnął się do siebie. Zastawił na nią pułapkę. Zgoda na tak poniżającą propozycję była dowodem na jej chciwość. A Valente Lorenzatto świetnie rozpoznawał kobiety gotowe dla pieniędzy zaprzedać duszę diabłu.

Co do Caroline, to poznał się na niej za późno. Pięć lat temu ufał jej bezgranicznie. Zwiodła go jej kruchość i niewinność. Dopiero w dniu niedoszłego ślubu zobaczył, jaka była naprawdę. Sprytna kłamczucha dopięła swego. Spotykając się z Valentem, wzbudziła zazdrość w Matthew Baileyu i doprowadziła go w końcu przed ołtarz. To była dla Valentego twarda lekcja. Tym razem nie da się zwieść krokodylim łzom i sentymentalnym opowieściom o starych rodzicach.

W hotelowej windzie Caroline miała napad chichotu. Kiedy zamknęła oczy, świat wokół niej zawirował. Rzadko piła, a jeśli już, to niewiele. Nie wiedziała, czy jest tylko podchmielona, czy przesadziła z alkoholem. Co gorsza, zamiast pewności siebie czuła coraz większą nerwowość.

Drzwi apartamentu otworzył jeden z ludzi Valentego. Weszła do środka.

Na jej widok zaparło mu dech w piersiach. Wyglądała doskonale. Rozpuszczone włosy, podkreślone szminką usta, odsłonięty dekolt i długie nogi wzbudziły jego zachwyt. To nie była skromna dziewczynka sprzed lat ani wdowa, z którą rozmawiał dziś rano. Wpadła w zastawioną pułapkę. A on nie miał ochoty odsyłać jej do domu.

Bezwładnie klapnęła na fotel. Krótka sukienka podwinęła się wyżej, odsłaniając zgrabne uda. Nie chciał dzielić się tym widokiem z innymi. Odesłał swoich ludzi.

- Valente - wymamrotała.

Serce zabiło jej żywiej. Wysoki, o szerokich ramionach, z cieniem zarostu na twarzy, zaczesanymi do tyłu włosami, które zaczynały się kręcić na końcach, uosabiał w jej oczach ideał męskości. Przez cienką bawełnianą koszulę widać było zarys włosów na

klatce piersiowej. Lubiła, gdy mężczyzna wyglądał jak mężczyzna. Z Valentego emanowała męska energia i siła.

- Myślałem, że nie przyjdiesz - przyznał z brutalną szczerością.

- Jesteś lepszym szantażystą, niż sądziłeś. - Nerwowym gestem splotła mocno dłonie.

- Człowiek zawsze ma wybór, *cara mia*.

- Powinnam posłać cię do diabła.

- Ale tego nie zrobiłaś - zauważył.

Nie uszło jego uwagi, że lekko bełkocze.

Czyżby piła? Kiedyś rzadko sięgała po alkohol.

- Co to za gra? Mówisz mi, czego chcesz, a kiedy masz to przed sobą, już tego nie chcesz? - Z coraz większym trudem znajdowała słowa.

- Nie znasz mężczyzn? Większość najbardziej pragnie tego, co nieosiągalne.

- Lepiej już pójdę. - Podniosła się i w tej samej chwili chwyciły ją mdłości.

Zlana zimnym potem zachwiała się i poczerwieniała.

- *Porca miseria...* nie! - Rozdarty między obcą mu niepewnością a pragnieniem seksualnego zaspokojenia zerwał się na równe nogi. - Co się stało? Jesteś chora?

- Muszę do... łazienki - wydusiła z siebie, zasłaniając dłonią usta.

Chwilę potem klęczała przy ubikacji i wymiotowała. W przerwach między kolejnymi atakami przepraszała.

- Brzydę się pijaństwem - oznajmił lodowato Valente, stojąc w drzwiach łazienki.

- Krzycz, jeśli będziesz potrzebować pomocy. Będę w salonie.

- Nie masz ani krzty współczucia? - wydusiła przez łyzy, umierając ze wstydu.

- Nie, i lepiej, żebyś o tym pamiętała - rzucił twardo i trzasnął drzwiami.

Wstała, przytrzymując się obudowy umywalki. Obmyła twarz, wypłukała usta. Czując się niepewnie na obcasach, zdjęła buty i wzięła je do ręki.

Valente siedział przed laptopem. Był zły. Jako syn alkoholika, sam zachowujący wstrzeźliwość, był zde gustowany zachowaniem Caroline. Jak śmiała zjawić się w takim stanie? Czyżby uznała, że zechce ją nawet pijaną? Dla mężczyzny tak wybrednego jak on to była ujma na honorze.

Weszła cicho do pokoju. Widział, z jakim trudem stawia każdy krok. Była blada i wymizerowana. Drobną i bosą, nie wyglądała na dwadzieścia sześć lat. Zaciął usta. Kiedyś miał ją poślubić. Dziś byłaby pewnie matką jego pierwszego dziecka.

- Przepraszam. Byłam głupia. Za dużo wypiałam przed wyjściem. Myślałam, że się wyluzuję - tłumaczyła.

- Nie jesteś już nastolatką, powinnaś wiedzieć, że picie nie jest tak przyjemne, jak się wydaje. Nawet pionu nie trzymasz. Ohyda.

Caroline opadła na sofę. Wszystko ją bolało. Miała ciężką głowę. Ale najbardziej cierpiała z powodu jego komentarzy.

- To twoja wina, że się upiłam.

- Oświeć mnie, bo nie rozumiem. - Stał nad nią i obrzucił ją krytycznym spojrzeniem.

Caroline zapomniała o zawrotach głowy. Podniosła się i oparła o sofę, by utrzymać równowagę. Był to akt triumfu woli.

- Groziłeś, że skrzywdzisz ludzi, na których mi zależy, i zrzuciłeś odpowiedzialność za ich los na moje barki.

- Bardzo wątpliwe barki. Kto chciałby na tobie polegać? Kiedyś polegałem i dokąd mnie to zaprowadziło? Nie możesz mnie winić za swoją słabość.

Caroline zbladła jak ściana.

- Kiedy stałeś się takim draniem? Nie dbasz o nikogo i o nic, chyba że czegoś chcesz.

- Szanse, że dostanę, czego chcę, są w tym momencie nikłe. Twój stan upojenia czyni cię niedotykalną. Może inni są mniej wybredni, ale ja nie - rzucił drwiąco.

Patrzył na jej wargi i kształtne piersi, przeklinając w duchu swoje libido. Szybko przeszedł na drugi koniec pokoju, by uciec od pokusy.

- Moje zachowanie to nic w porównaniu z tym, co ty zrobiłeś. Nienawidzisz mnie. Czemu nie dasz sobie wyjaśnić, co się stało pięć lat temu? - Myślenie i mówienie przychodziło jej trudniej niż utrzymanie równowagi. Cały pokój wirował. Powoli docierało do niej, że wypity alkohol dopiero teraz zaczyna działać naprawdę.

- Po takim czasie to już nie ma znaczenia.

- Ale wtedy nie miałam okazji z tobą porozmawiać, bo wróciłeś do Włoch. Zmieniłeś nawet numer komórki. Pisałam do ciebie. Nigdy nie dostałam odpowiedzi. - Bolało ją wspomnienie długich tygodni czekania i cisza, która utwierdziła ją w przekonaniu, że Valente zniknął na zawsze.

- Wyrzucałem je do śmieci. Nie było sensu ich czytać. Pewnych rzeczy nie da się wybaczyć - powiedział z pogardą.

Posunął się do niewinnego kłamstewka, by uniknąć rozważań na temat pewnego niewytłumaczalnego aspektu jego własnego zachowania.

- Aż tak mnie nienawidzisz? - Patrzyła mu w oczy z intensywnością, którą trudno było znieść.

- Nie jesteś warta aż takich emocji, *piccola mia*. Minęło pięć lat. A teraz wezwę kierowcę, żeby cię odwiózł bezpiecznie do domu.

- Jak mogę jechać, skoro nie wiem, co dalej?

- Jeśli chciałaś mi zademonstrować, jaką będziesz żoną, to zrobiłaś piorunujące wrażenie.

- Nie wyszłabym za ciebie! - wrzasnęła. - Obiecałam sobie, że nigdy więcej nie wyjdę za mąż. Związek z niewłaściwym człowiekiem to dla mnie piekło! Nie mówiąc już o tym, że jesteś sarkastycznym, zimnym, bezwzględnym manipulatorem i zboczeńcem!

- Zboczeńcem? - Valente zareagował tylko na to ostatnie określenie.

- A jak normalny człowiek nazwałby ściąganie do hotelu byłej narzeczonej jak prostytutki?

- Podaj mi definicję normalności. Sam zaliczylibym siebie do kategorii normalnych, może jedynie z większą dozą wyobraźni i śmiałości niż reszta. Gdybyś się nie upiła, zrealizowałbym bardzo podniecający scenariusz.

- Podniecający dla kogoś bez zasad! Nie znam się na takich scenariuszach. Dlatego musiałam się napić. Chciałam pomóc innym.

Przemknęła mu przez głowę myśl, że przyjemnie byłoby nauczyć ją czegoś w sypialni. I nie miało to nic wspólnego z chęcią zemsty czy z dobrym interesem.

- Pomóc innym? Czemu zawsze zgrywasz ofiarę? Przyszłaś tu, bo chciałaś się uchronić przed bezdomnością, chcesz się cieszyć pozycją i bogactwem jako moja żona i szukasz wymówki, by wylądować w moim łóżku.

- To kłamstwo! - zachnęła się Caroline.

Zrobiła jeden niepewny krok i padła bezwładnie na dywan.

W pierwszej chwili pomyślał, że udaje. W końcu podszedł bliżej i pochylił się nad jej znieruchomiałym ciałem. Nie rozbiła sobie głowy, ale była nieprzytomna. Zaniepokoił się. Zadzwoił na recepcję i poprosił, żeby wezwali lekarza. Wziął ją na ręce i zaniosł do sypialni. Była lekka jak piórko.

Doktor Seaborne zjawił się po pięciu minutach. Akurat meldował się w hotelu, gdy Valente zadzwonił na recepcję. Usłyszawszy rozmowę, zaoferował pomoc.

Przyjrzał się drobnej pacjentce i spytał o jej wiek. Valente musiał wygrzebać z torebki prawo jazdy, by udowodnić mu, że nie zwabił i nie upił nieletniej. Odezwała się jej komórka. Valente bez namysłu ją wyłączył.

Doktor Seaborne zbadał Caroline i uznał, że nie ma potrzeby wzywać do niej pomocy, skoro to tylko upojenie alkoholowe.

Valente nie mógł odwieźć jej w takim stanie do domu. Musiałby się tłumaczyć jej rodzicom. Wściekły, że wpakowała go w takie kłopoty, zdjął jej sukienkę i ostrożnie ułożył na łóżku. Skrzywił się na widok jej rajstop i zwykłej białej bielizny. Wolałby zobaczyć seksowne pończochy...

Caroline z trudem się budziła. Miała obolały żołądek, głowa jej pękała i czuła suchość w ustach. Z przeciągłym jękiem otworzyła oczy. Leżała w nieznanym sobie pokoju. Podskoczyła przerażona, gdy w drzwiach sypialni stanął Valente.

- Słyszałem, że wstałaś. Zamówię ci śniadanie.

Caroline spiekła raka i pospiesznie owinęła się kołdrą.

- Nie, dziękuję - odparła słabym głosem.

Serce podeszło jej do gardła, gdy dotarło do niej, że nic nie pamięta z wczorajszego spotkania, odkąd chwyciły ją mdłości.

Nieziemsko przystojny w czarnym, świetnie skrojonym garniturze i jasnoczerwonej jedwabnej koszuli opierał się o framugę niczym model z ilustrowanego magazynu.

- Zjedz coś. Poczujesz się lepiej. Tabletki przeciwbólowe też ci się przydadzą.

- Czemu nie odwiozłeś mnie do domu? - Caroline omiatała wzrokiem pokój, unikając patrzenia na Valentego. Kiedy jej wzrok padł na drugą poduszkę, dostrzegła na niej zagłębienie. - Boże, nie... spaliśmy ze sobą?

- Sofa jest dla mnie za mała.

- Czy my...? To znaczy... - plątała się.

Rzuciła mu przestraszone spojrzenie.

- Wyglądam na tak zdesperowanego, żebyś musiał korzystać z bezwładnego ciała? - spytał drwiąco.

Zadrżała i owinięła się ciasniej.

- Więc nie. To dobrze - wydukała.

- Racja. Ale nigdy więcej tyle nie pij.

- Nie będę. To był straszny błąd, a ja uczę się na błędach.

- Niektórzy mężczyźni mogliby wykorzystać twój stan. Straciłaś nad sobą kontrolę. To niebezpieczne - zauważył surowo.

- Tak, masz rację. A teraz muszę wziąć prysznic - odparła zawstydzona.

- Śniadanie będzie czekać.

Caroline schyliła się po sukienkę i owinięta kołdrą poszła do łazienki. Sprawdziła godzinę. Zegarek wskazywał dopiero ósmą. Ulżyło jej. Rodzice na pewno nie wrócą do domu przed lunchem. Wuj Charles był starym kawalerem i uroczym gospodarzem. Wdzięczna za to szczęśliwe zrządzenie losu weszła pod prysznic.

Na polu uwodzenia poniosła totalną klęskę. Jak mogła tyle wypić? Teraz Valente się nią brzydził. Nie zależało jej, by być dla niego atrakcyjną, ale tylko to było jej kartą przetargową w negocjacjach. Poza tym nadal była dziewicą.

Włożyła wczorajsze ubranie i przyczesła włosy. Z lustra spoglądała na nią blada, opuchnięta i zmęczona twarz. Caroline niechętnie dołączyła do Valentego w aneksie jadalnym salonu. Najpierw podał jej tabletki przeciwbólowe i szklankę wody. Zażyła je bez słowa sprzeciwu. Ciągle czuła się fatalnie. Niechętnie skubnęła trochę jedzenia. Pijąc

kawę za kawą, Valente opowiedział jej o wczorajszej wizycie lekarza i jego wątpliwościach co do jej wieku. Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Twój telefon dzwonił wczoraj. Wyłączyłem go - powiedział na koniec.

Wyjęła aparat z torebki. Zmarszczyła brwi na widok informacji o nieodebranych połączeniach. Dzwonili wuj Charles i matka. Nerwowo wybrała numer wuja.

- Caroline? Nareszcie! - zawołał.

Usłyszała od niego, że wieczorem ojciec poczuł się gorzej i został zabrany do szpitala. Isabel pojechała z nim, a dziś rano zadzwoniła do Charlesa z pytaniem, czy powinna się zgłosić na policję, ponieważ nie może się skontaktować z córką.

- Jadę prosto do szpitala - oznajmiła przejęta Caroline i zerwała się z miejsca.

- Co się stało? - Valente złapał ją za ramię.

W jej oczach lśniły łzy niepokoju. Wybierając numer szpitala, krótko wyjaśniła mu sytuację.

- Zawiozę cię tam. Dlaczego twoja matka chciała dzwonić na policję? Nigdy nie nocujesz poza domem?

- Oczywiście, że nie. Wczoraj się nie martwiłam, bo rodzice mieli być u wuja Charlesa. Powinnam była to przewidzieć. Teraz wiedzą, że noc spędziłam poza domem. Będą zdenerwowani. Co mam im powiedzieć? Że byłam z tobą? To będzie koniec świata.

- Jesteś dorosła, *piccola mia*. Nie musisz się tłumaczyć. Przez parę lat byłaś mężatką. Nie do wiary, że ciągle pozwalasz rodzicom tak sobą rządzić.

- To nie tak! Rzadko wychodzę wieczorami. Wiedzą, że nie mam chłopaka, więc martwili się, że nie ma mnie w domu w środku nocy. W przeciwieństwie do ciebie wiodę spokojne życie. Dlaczego wyłączyłeś mój telefon?

- Lekarz chciał się ze mną naradzić, a ty nie nadawałaś się do rozmowy.

Z tym argumentem nie mogła polemizować.

- Czuję się okropnie we wczorajszym ubraniu. Wszyscy będą wiedzieli, że spędziłam tu noc.

Chciała przemknąć przez hol niezauważona, ale Valente pociągnął ją do hotelowego butiku.

- Dzwoniłem - szepnął do sprzedawczynie.

- Pan Lorenzatto? Mamy coś, czego pan szukał.

Z uśmiechem zdjęła z wieszaka szykowny szafirowy płaszcz przeciwdeszczowy i pomogła Caroline go włożyć.

- Doskonale - rzucił Valente i podał sprzedawczynie złotą kartę kredytową.

- Oddam ci pieniądze - mruknęła Caroline, gdy znaleźli się z powrotem w holu.

Ulżyło jej, że ma czym zasłonić wczorajszą koktajlową sukienkę.

- Nie musisz za nic płacić. To główna korzyść z bycia kochanką krezusa.

- Nie wiedziałam, że nadal mam szansę. - Nagle zobaczyła, że przed hotelem stoją auta, a przed nimi asystenci i ochroniarze Valentego. Przyglądali jej się ciekawie. Zaczzerwieniała się po nasadę włosów.

Valente zauważył, że wszyscy mężczyźni zwracają uwagę na drobną postać u jego boku. Nie starając się o to, przyciągała oczy kobiecością, urokiem i seksapilem. Zacisnął zęby. Parę chwil temu uznał, że ma dość skomplikowanych relacji z Caroline. Ale myśli, że mógłby ją zostawić samą, na dodatek biedną, i że zakręciłby się koło niej inny mężczyzna, bardzo mu się nie spodobała.

- A chcesz mieć jeszcze szansę?

Zamrugnęła powiekami. Ku własnemu zaskoczeniu wolno skinęła głową.

- I postarasz się bardziej niż wczoraj?

- Tak - odparła, odsuwając od siebie ponure myśli o swoim nieudanym życiu seksualnym.

Valente uśmiechnął się do niej pierwszy raz od chwili, w której pięć lat temu czekał na nią w kościele.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie musisz ze mną wchodzić. Na pewno masz mnóstwo spraw - powiedziała Caroline, gdy limuzyna zatrzymała się pod szpitalem.

Valente zignorował jej słowa.

W recepcji dowiedział się, gdzie leży Joe Hales i ruszył labiryntem korytarzy na oddział.

Caroline złapała go za rękaw.

- Moi rodzice nie mogą cię zobaczyć. Nie mogą wiedzieć, że byłam wczoraj z tobą. Nie chodzi o mnie czy o ciebie. Chodzi o zdrowie mojego ojca. Jest na liście oczekujących na operację.

- Mimo wszystko chciałbym z nimi porozmawiać.

- Przejąłeś ich firmę, niedługo wyrzucisz ich z domu. Czemu mieliby z tobą rozmawiać i to jeszcze w takiej sytuacji? - argumentowała.

W końcu Valente zgodził się poczekać przed wejściem na salę, gdzie leżał jej ojciec. Ze swojego miejsca widział go wyraźnie. Joe Hales był podłączony do monitora. Oddychał ciężko i głośno. Przy nim siedziała żona. Oboje bardzo się postarzel, odkąd widział ich ostatni raz.

Kiedy matka Caroline otworzyła usta, zorientował się szybko, że mimo upływu lat nic nie straciła ze swojej apodyktycznej natury.

- Gdzie byłaś wczoraj wieczorem? Umieraliśmy ze strachu - rzuciła oskarżycielskim tonem.

- Spokojnie, Isabel - przerwał jej Joe. Gdy Caroline uścisnęła mu rękę, na jego sinych ustach pojawił się uśmiech. - W jej wieku nie można ciągle siedzieć w domu.

- Byłam na spotkaniu z Valentem. Wiedziałam, że jesteście u wujka Charlesa i wyłączyłam telefon. Przykro mi, że nie mogliście się dodzwonić.

- Spotkałaś się z tym Włochem za naszymi plecami? - wysyczała oburzona Isabel.

- O spotkaniu wczoraj rano wiedziałaś - odcięła się Caroline. - Jak się czujesz, tato?

- Zmęczony, to wszystko. Twoja mama mnie wspierała - powiedział Joe z zamiarem uspokojenia żony i zmiany tematu.

- Nie zostawię tak tego. To kwestia przyzwoitości. Nie będę z tobą rozmawiać, Caro, póki nie wyjaśnisz, dlaczego nie wróciłaś na noc do domu.

Zapadła cisza.

Caroline zastanawiała się, jakie wyjaśnienie zabrzmiałoby przekonująco. Zimne spojrzenie niebieskich oczu matki przyprawiało ją o lęk. Poczuli się jak najgorsza córka na świecie. Potem uderzyła ją myśl, że nigdy nie zazna szczęścia, jeśli się nie sprzeciwi matczynej dominacji.

Nieoczekiwanie Valente rozsunął zasłony i stanął u jej boku, rzucając jej rodzicom chłodne, wyniosłe spojrzenie.

- Nie mogłem pozwolić Caroline wrócić do pustego domu. Winterwood stoi na uboczu. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli przenocuje w hotelu.

Isabel Hales otworzyła usta i zamknęła je, gdy jej mąż zaczął dziękować Valentemu za tak szarmanckie zachowanie wobec jego córki.

- To było najlepsze rozwiązanie w tej sytuacji. Dobrze się stało. - Zamknął oczy, a potem z trudem je otworzył.

- Oczywiście Caroline protestowała - Valente pozwolił sobie na dowcip.

- Uhm, tak. - Zaskoczył ją swoją interwencją i tym, że nie stracił rezonu. - Tato, chyba potrzeba ci snu.

- Odwiozę panią do domu. Musi być pani zmęczona po całej nocy w szpitalu - zwrócił się Valente do Isabel Hales.

- Joe mnie potrzebuje. - Isabel rzuciła podejrzliwe spojrzenie wysokiemu przystojnemu Włochowi.

- Nic mi nie będzie. Możesz przyjechać później - powiedział jej mąż uspokajającym tonem i wziął ją za rękę.

Valente dostrzegł w jej oczach łzy. Isabel Hales ukazała ludzką twarz. Za powierzchownością i despotyzmem kryła się kobieta szczerze oddana mężowi.

Po tylu godzinach siedzenia na krześle zeszywniała i musiała się wesprzeć na Caroline, by wstać. Wychodzili ze szpitala znacznie wolniej niż do niego weszli.

Na widok limuzyny i ochroniarzy Isabel Hales złagodniała. Caroline otwierała szeroko oczy, gdy jej matka z uśmiechem wdała się w ożywioną rozmowę z Valentem jak ze starym dobrym znajomym. Nagle pojęła, skąd ta zmiana nastawienia. Jej matce po prostu zaimponowały widome oznaki bogactwa Valentego. Była boleśnie świadoma, że on sam dojdzie do tego samego zawstydzającego wniosku.

Valente odprowadził Isabel pod drzwi rezydencji, po czym położył dłoń na wąłym ramieniu Caroline.

- Zadzwoń jutro.

Caroline zadrżała pod spojrzeniem jego gorących oczu. Serce waliło jej jak młotem. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Nie ma potrzeby - wykrztusiła w końcu.

- Jest - odparł stanowczo.

- Będę w szpitalu u taty.

- Całego dnia tam nie spędzisz - wtrąciła Isabel tonem upomnienia.

- Do piątku muszę skończyć zamówioną biżuterię - dodała, nie wierząc własnym uszom.

- Jutro wieczorem zjemy kolację, *bella mia*. Przyślę po ciebie auto o siódmej - oznajmił Valente.

- Co ty wyprawiasz, mamó? - spytała przyciszonym tonem Caroline, gdy tylko znalazły się w holu.

- Raczej co ty wyprawiasz, moja droga? Twój były kierowca ciężarówki jest teraz obrzydliwie bogaty i ciągle za tobą szaleje...

- Nieprawda! - zaoponowała żywo.

Starsza kobieta posłała jej rozbawione spojrzenie.

- Skończ z tą nieśmiałością, Caro. Widziałam, jak na ciebie patrzy. Przejął naszą firmę. Przejął nasz dom. Urabiasz sobie ręce po łokcie przy tej swojej biżuterii, a mimo to jesteś biedna jak mysz kościelna. Bogaty mąż rozwiązałby wszystkie nasze problemy.

- Ani myślę znów wychodzić za mąż! - krzyknęła Caroline i ruszyła ku schodom.

- Nie wszyscy mężczyźni są tacy jak Matthew - powiedziała sucho Isabel.

Caroline przystanąła i powoli odwróciła się w stronę matki.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Isabel westchnęła ciężko.

- Wiedziałam, że Matthew miał inne... jak by to ująć... zainteresowania. Asystentka z wielkim biustem, której płacił nieprzyzwoicie dużo. Barmanka w The Swan. Żona właściciela warsztatu samochodowego. Wyliczać dalej?

- Nie. Nie miałam pojęcia, że wiesz. Nigdy się z tym nie zdradziłaś. - Uderzył ją spokój, z jakim matka o tym mówiła.

- To nie była moja sprawa.

Caroline poczuła nagły przypływ złości.

- Nie? Zachwycałaś się Matthew. Uważałaś, że jest idealny. Wystarczały ci pozory, nie zagłębiałaś pod powierzchnię. Przekonałaś mnie, że przyjaźń z Matthew będzie lepszą podstawą małżeństwa niż moje, jak to nazwałaś, „fatalne zauroczenie” Valentem! - krzyczała coraz głośniej.

Isabel zmarszczyła brwi.

- Panuj nad sobą, Caro. Owszem, Matthew nie sprawdził się jako zięć, ale nie możesz mieć do mnie pretensji, że nie przewidziałam jego skłonności do zdzirowatych kobiet z wielkimi biustami!

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, co wiesz? Byłoby mi łatwiej, gdybym mogła ci się zwierzyć.

- Nie chciałam rozmawiać o takich obrzydliwych rzeczach. Sama wiedziałaś, co robić. Jako rozsądna żona przymknęłaś oko na jego wybryki. To nie była moja sprawa. - Po raz drugi Isabel uchyliła się od odpowiedzialności.

Caroline nie od razu przymykała oko. Matthew nie tolerował „ingerowania” w jego prywatne sprawy. Przypominał jej, że jest nienormalną żoną i to ona pchnęła go w ramiona innych kobiet, które mogły mu dać to, czego potrzebował. Podobały mu się kobiety będące jej przeciwieństwem: otwarte, ponętne i napalone. Słabo jej się zrobiło na wspomnienie tego małżeństwa.

- Wiele was łączyło. Powinniście stworzyć zgodną parę. Jego rodzice na pewno tak sądzili. A my uznaliśmy, że Matthew spełni nasze oczekiwania.

- Jakie oczekiwania?

- Nie bądź naiwna, Caro. Zawsze liczyliśmy, że przyprowadzisz do domu męża, który przejmie po nas firmę. Matthew miał odpowiednie pochodzenie i doświadczenie w zarządzaniu.

- Dlatego nalegaliście, żebym za niego wyszła?

- Byłaś do niego przywiązana. Znałaś go całe życie.

- Dlaczego po naszym ślubie rodzice Matthew nagle postanowili zainwestować w Hales Transport?

- Chcieli, żeby się ustatkował. I żeby przejął firmę. To naturalna kolej rzeczy.

- Czyżby? - spytała sceptycznie Caroline.

Dopiero teraz ujrzała kulisy swojego małżeństwa we właściwym świetle.

- Kiedy Giles Sweetman od nas odchodził, zbliżał się do emerytury. Ojciec uznał, że firma potrzebuje nowego impulsu. Matthew był młody i energiczny.

- Baileyowie zainwestowali dlatego, że Matthew miał zostać menedżerem. Czy to jedyny powód, dla którego chciał mnie poślubić?

Isabel pokraśniała ze złości.

- Nie bądź śmieszna, Caro. Matthew cię kochał.

- Mylisz się, nigdy mnie nie kochał. Lubił wystawne życie i jego rodzice mieli dość utrzymywania go. Uznali, że opłaca się mieć mnie za synową, skoro wniosę w posagu Hales Transport.

- Ale masz bujną wyobraźnię! Wcale tak nie było! - krzyknęła Isabel.

Caroline ugryzła się w język. Nie było sensu kłócić się o małżeństwo, które już nie istniało.

- Idę spać.

- Nie wiem, co się z tobą dzieje, Caro.

- Nigdy mnie nie rozumiałaś.

- Och, bez przesady. Ojciec i ja chcieliśmy dla ciebie jak najlepiej. Przecież nazywałaś Matthew swoim najlepszym przyjacielem.

- Ale kochałam Valentego.

- Z tego, co dziś widziałam, nadal możesz go mieć. O ile sprytnie się wokół niego zakręcisz - stwierdziła z nieoczekiwanym rozbawieniem Isabel.

W łóżku Caroline płakała nad własną głupotą. Koko wtórowała jej miauczeniem. Pięć lat temu dała się złapać niczym mucha w sieć pająka. Obie pary rodziców miały interes, by zachęcać swoje dzieci do małżeństwa. Halesowie otrzymali wsparcie finansowe w zamian za złożone Baileyom gwarancje, że Matthew stanie na czele firmy, a potem ją przejmie jako ich zięć. Baileyowie pragnęli też wnuka. Caroline była zbyt naiwna, by przejrzeć, co się za tym kryje.

Pierwszą połowę następnego dnia spędziła z ojcem w szpitalu. Wczesnym popołudniem wróciła do pracowni, by dokończyć biżuterię na zamówienie. Parę minut po szóstej, gdy wszystko było gotowe, przypomniała sobie o kolacji z Valentem.

- Czyżbyś zaczynała się dopiero teraz szykować? Wyglądasz jak nieboskie stworzenie! - zawołała Isabel na widok córki idącej po schodach.

- Dzięki - odparła Caroline.

- Nawet śliczne dziewczęta muszą się postarać. Nie ułożyłaś włosów, nie pomalowałaś paznokci.

Caroline spojrzała na matkę lodowato.

- Valente nie podobał ci się tylko dlatego, że był biedny. Zdobył majątek, więc go akceptujesz. To nawet coś więcej niż akceptacja.

- Jeśli ciągle będziesz wracać do przeszłości, nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Musisz się trochę postarać, żeby zatrzymać przy sobie mężczyznę, Caro. Może Matthew więcej czasu spędzałby w domu, gdybyś bardziej dbała o swój wygląd.

Słowa matki były dla Caroline jak policzek. W sypialni przejrzała swoją garderobę. Nie miała nic szykownego. Matthew nalegał, by nosiła się konserwatywnie jak jego matka.

Dopiero teraz zrozumiała, że był tyranem, który odbierał jej pewność siebie. Teściowie obwiniali ją za jego nieobecność w domu i sugerowali, że dziecko rozwiązałoby problem. Caroline uważała, że Matthew, który nie chciał dorosnąć, odszedłby wtedy w

siłą dal. Nie wiedziała, czy dochowałby jej wierności, gdyby nie okazała się oziębła. Oziębła. Straszne słowo, myślała, susząc i prostując włosy. Nie oddawało jednak jej strachu przed seksem.

Lekko się umalowała, włożyła kremową sukienkę z długim rękawem, żakiet i beżowe buty na niskim obcasie. Zeszła do holu. Limuzyna już czekała przed wejściem. Matka zawołała ją do salonu.

- Zrozumiem, jeśli wrócisz późno, ale zachowuj się powściągliwie.

Caroline omal nie parsknęła śmiechem. Matka hipokrytka dała jej wyraźnie do zrozumienia, że nie potępi sypiania z Valentem, ale odmawiając mu, córka rozpali go i będzie miała w garści. W tej chwili Caroline najbardziej obchodził stan zdrowia ojca. Martwiła się, że nie doczeka operacji.

Valente patrzył na Caroline. Była zakryta po szyję, kolana i nadgarstki. Kształtem przypominała tubę, co odbierało jej zgrabnej figurze kobiece kształty. Rozpuszczone włosy okalały jej twarz. Napotkał spojrzenie jej wielkich szarych oczu. Miała minę skazańca prowadzonego na szubienicę. Nawykły do kobiecego podziwu, poczuł się urażony.

Jego taksujące spojrzenie zawstydziło ją i wytrąciło z równowagi.

- Ten strój jest tak straszny, że chciałbym go z ciebie zedrzeć - powiedział, gdy Caroline sięgnęła po menu.

Zbladła i popatrzyła na niego tak przestraszona, że pospiesznie dodał:

- To był żart. Uszczypliwy, *piccola mia*. Chciałbym cię zobaczyć w strojach, które do ciebie pasują.

- Schudłam od śmierci Matthew. Mało co na mnie pasuje - przyznała.

Valente pogładził palcem jej zaciśniętą dłoń. Zadrżała pod wpływem tego delikatnego dotyku.

- Odpręż się. Przez ciebie się denerwuję.

- Trudno mi to sobie wyobrazić.

- Przy tobie wszystko jest możliwe - odparował. - Martwisz się o ojca?

- Oczywiście. Pilnie potrzebuje operacji.

- Leży w szpitalu państwowym. Tam jest pewnie lista oczekujących. Twój ojciec musi najpierw nabrać sił. Mógłbym zapłacić za operację, a wtedy przeprowadzą ją, kiedy tylko będzie gotowy.

- Nie wierzę, że proponujesz coś takiego.

- Czemu nie? Chcę, żebyś wróciła do mojego życia. Za wszelką cenę.

- Nie możesz targować się o życie innych, Valente. Nikt nie powinien.

Valente odchylił się na krześle i patrzył na nią rozpalonymi oczyma.

- Za wszelką cenę - powtórzył bez śladu skruchy.

Caroline zrozumiała, że złożył jej ofertę, której nie mogła odrzucić.

TLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Wygrałeś. Nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobiła, by uratować ojca - przyznała.

- Lojalność godna podziwu. Trzeba tylko omówić warunki.

Caroline miała ochotę wylać mu wodę na głowę. Nawet nie starał się ukryć satysfakcji. Wygrywanie miało dla Valentego Lorenzatto wielkie znaczenie. Przestraszył ją, ponieważ jego bezwzględność zdawała się nie mieć granic. Przez „warunki” rozumiał wybór: kochanka albo żona. Popychał ją w kierunku, w którym nie chciała iść.

Valente oczekiwał od jej płci przyjemności. Kiedyś kobiety wzdychały do niego z powodu świetnego wyglądu i silnej osobowości. Intuicja podpowiadała jej, że miał wiele przygód. Majątek i pozycja sprawiły, że kobiety nie mogły mu się oprzeć. Nawet ona nie pozostawała obojętna na jego magnetyczny urok. Chociaż delikatne pocałunki były o wiele łatwiejszym wyzwaniem niż dzielenie z nim łóżka.

Podano pierwsze danie. Caroline odsunęła od siebie talerz.

- Jedz - powiedział Valente i podsunął jej talerz pod nos. - Jesteś za chuda. Kiedy wzięłem cię wczoraj na ręce, byłaś lekka jak piórko.

- I co z tego? Dobrze mi z tym - odparła szorstko.

Z bólem przypomniała sobie docinki Matthew na temat jej chłopięcego braku krągłości.

- Jeśli chcesz wymóc na mnie małżeństwo, powinnaś nabrać ciała, żeby łatwo zająć w ciążę. Mam jednak nadzieję, że nie będziesz nalegać na ślub.

- Dlaczego?

Valente zdecydowanym ruchem włożył jej w dłoń nóż i widelec.

- Postawię sprawę jasno. Nie chcę się z tobą żenić. Nie jestem taki jak pięć lat temu. Myślę inaczej. Czuję inaczej.

- Właśnie. Byłeś o wiele cieplejszy i troskliwszy - zauważyła.

- Mimo mojego ciepła i troskliwości nie zjawiałaś się w kościele - rzucił kąśliwie. - Nie chcę żony. Chcę kochanki. Będę o wiele hojniejszy, jeśli zgodzisz się na moje warunki.

Caroline przełknęła ślinę. Dyskretnie rozejrzała się po sali. Kilka kobiet spoglądało w ich kierunku. Valente przyciągał uwagę. Pomyślała smutno, że zawsze tak będzie. Walczyła ze sobą. W jej sytuacji tylko małżeństwo wchodziło w rachubę, ale bała się ponownego wejścia na pole minowe, jakim była dla niej sypialnia.

Valente obserwował ją uważnie. Przeżywał męki, leżąc wczoraj tuż przy niej i nie mogąc jej dotknąć. Teraz podnieciła go sama myśl o fizycznej bliskości ich ciał. Co w niej było takiego, że działała na niego silniej niż inne kobiety?

Małżeństwo to chyba jednak zbyt wysoka cena. Przypuszczał, że szybko ochłonie i straci nią zainteresowanie. A żony trudniej się pozbyć niż kochanki. Z drugiej strony, gdyby urodziła mu dziecko, nie będzie już musiał wiązać się formalnie z inną kobietą. Powinien mieć dziedzica, by zapewnić ciągłość rodu, pieczę nad majątkiem Barbierich i nad własnym imperium.

- To musi być małżeństwo - odparła Caroline stanowczo.

- Dlaczego?

Z przejścia zrobiło jej się gorąco. Zdjęła żakiet, a wtedy Valente zobaczył, że sukienka odsłania w istocie całkiem sporo, zwłaszcza gdy Caroline pochyliła się nad talerzem.

- Tata nigdy by nie zaakceptował innego rozwiązania. Jest na to zbyt staroświecki.

- Dzisiaj mnóstwo par żyje razem bez ślubu. - Nie mógł oderwać oczu od jej alabastrowego dekoltu. Widok jej piersi działał na niego pobudzająco. Gdyby się z nią ożenił, miałby ją zawsze pod ręką.

- Wątpię, czy w przeciwnym wypadku dotrzymałbyś słowa - odparła prosto z mostu i odłożyła sztucę.

Patrzyła na niego wyzywająco szarymi oczyma.

- Nie ufasz mi - zauważył.

- Ty też mi nie ufasz.

- Nie będę dobrym mężem.

- Jeśli nie będziesz agresywny ani grubiański, jakoś to zniosę - rzekła z prostotą.

Valente spuścił wzrok, by ukryć zaskoczenie. Pierwszy raz poczuł neodpartą chęć, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o jej małżeństwie z Matthew Baileyem.

- Agresja i grubiaństwo wykluczone - obiecał.

- A więc umowa stoi? - spytała.

Obrzucił ją chmurnym spojrzeniem.

- Pobierzemy się najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Czy o dziecku mówiłeś serio? - wyszeptała, kiedy kelner przyniósł drugie danie.

Nadal nie wierzyła, że przystał na jej propozycję.

- *Si, gioia mia*. Ja też muszę mieć z tego jakąś korzyść.

Caroline poczuła się dotknięta chłodną kalkulacją Valentego, chociaż wiedziała, że w tej sytuacji to głupie. Niby pragnął jej za wszelką cenę, ale bardziej kierował się rozumem niż sercem. Nie chciała się z nim spierać. Była pewna, że wkrótce Valente zerwie umowę i rozwiedzie się z nią, gdy rozczaruje się nią w sypialni.

Po kolacji postanowił, że odwiezie ją do domu.

Caroline bała się, że może zechcieć wyegzekwować coś więcej od kobiety, którą właśnie zgodził się poślubić.

W połowie drogi zmienił zdanie i kazał kierowcy jechać do szpitala.

- Im szybciej twoi rodzice się o tym dowiedzą, tym lepiej. Twój ojciec będzie miał mniej zmartwień - przekonywał.

Caroline była przerażona entuzjastyczną reakcją matki na nowinę o ślubie. Bogactwo sprawiło, że zapomniała o swoich uprzedzeniach wobec Valentego. Caroline bała się spojrzeć mu w twarz. Ulga w zmęczonych oczach jej ojca utwierdziła ją w przekonaniu, że postępuje właściwie, ratując byt rodziny i pracowników firmy.

W drodze do Winterwood Valente podzielił się z nią planami stworzenia oddzielnego apartamentu na parterze rezydencji, który spełniałby wszystkie potrzeby jej rodziców.

- Będą oczywiście mogli korzystać z całego domu pod naszą nieobecność.

- A my gdzie osiadziemy?

- W Wenecji. Ale odziedziczyłem też po dziadku inne posiadłości.

- Nie wiedziałam, że masz takiego bogatego dziadka - przyznała zaskoczona.

- Kiedyś ci o tym opowiem. - Delikatnie założył jej kosmyk jasnych włosów za ucho. Pochylił się i lekko dotknął ustami jej warg. - Bardzo cię pragnę, *belezza mia*. Po-

wiedz swojej matce, że nie chcę czekać na wystawny ślub. Pokryję wszystkie koszty, ale ceremonia musi się odbyć za dwa tygodnie. Moi ludzie pomogą w przygotowaniach.

- Dwa tygodnie? To szaleństwo.

- Raczej niecierpliwość. - Ujął jej twarz w dłonie i znów ją pocałował, tym razem dłużej, głębiej.

Zakręciło jej się w głowie.

- Nie ma powodów, żebyśmy zwlekali z pójściem do łóżka, ale ty pewnie chcesz zaczekać?

- Tak - wyszeptała z nerwami napiętymi jak postronki.

- Tyle już czekałem, że w końcu przez miesiąc nie wypuszczę cię z łóżka, *belezza mia*.

Wiedziała, jak bardzo Valente wkrótce się rozczaruje. A wtedy rodzice stracą dom, Hales Transport upadnie, a ojciec będzie musiał czekać w długiej kolejce na operację. I ona będzie za to odpowiedzialna. Valente powiedział, że podziwia lojalność. Czy będzie podziwiał jej lojalność wobec rodziny, gdy się dowie, że oszukała go w imię tej lojalności?

- Co się stało? - spytał na widok jej miny.

- Nic takiego.

Światło księżyca delikatnie rozświetlało wnętrze limuzyny. Podkreślało jego rysy. Pierwszy raz od lat Caroline zapragnęła fizycznego kontaktu z mężczyzną. Chciała wodzić palcami po jego twarzy, dotykać ust. Świadomość własnej ułomności w tej sferze budziła w niej strach o przyszłość.

Joe Hales patrzył na córkę schodzącą w sukni ślubnej po schodach. Suknia była prosta i klasyczna, tak aby drobna figura panny młodej nie zniknęła przytłoczona falbankami i marszczeniami. Idealnie dopasowana na górze, dołem rozkloszowana. Z upiętych wysoko włosów spływał krótki welon zwieńczony srebrną tiarą.

- Wyglądasz jak z obrazka - powiedział z dumą. Oczy mu się zaszklily. - Nie rozumiem, czemu twoja matka twierdziła, że nie powinnaś wkładać prawdziwej sukni ślubnej.

- Z powodu Matthew. Valente natomiast chciał, żebym była w prawdziwej sukni. Starszy mężczyzna zmrużył oczy z rozbawieniem.

- Twoja mama nie znosi sprzeciwu.

- Valente też nie - zauważyła Caroline, przypominając sobie ich gorące spory z ostatnich dwóch tygodni.

Z niechęcią przypomniła sobie reakcję rodziców Matthew na wieść o jej ponownym ślubie. Sama z godnością zniosła słowa potępienia, lecz jej matka nie okazała najmniejszego zrozumienia dla pretensji oburzonych Baileyów.

Valente zachowywał się tak, jakby pierwszego małżeństwa Caroline w ogóle nie było. Odrzucił propozycję cywilnego ślubu z Caroline w pastelowym żakiecie. Caroline wielokrotnie pełniła niewdzięczną rolę pośrednika między Valentem a Isabel, która błagała o więcej czasu, by zamienić drugi ślub córki w najwspanialsze wydarzenie, jakiego nie pamiętali najstarsi mieszkańcy hrabstwa.

Na kilka dni przed ślubem Valente poleciał do Włoch. Stamtąd komenderował nią jak pracodawca, a nie przyszły mąż. Wszystkie jej rzeczy, wraz z wyposażeniem pracowni, zostały profesjonalnie spakowane i przetransportowane do Wenecji. Koko, zaszczepiona w chip i zaszczepiona, poleciała do nowego domu jeszcze przed ślubem swojej pani.

Firma Hales Transport działała pełną parą. Zamówiono nowy magazyn, co było widomym znakiem rozwoju. Rodzice Caroline uzgodnili z architektem kształt nowego apartamentu. Na czas przebudowy mieli zamieszkać w hotelu opłacanym przez Valentego. Były ogrodnik i była gospodyni zostali zatrudnieni w Winterwood ponownie, żeby opiekować się posiadłością pod nieobecność Halesów. Valente załatwił jeszcze jedną ważną sprawę; chory ojciec Caroline miał przejść operację w przyszłym miesiącu w prywatnej klinice. Całość kosztów pokrywał oczywiście Valente.

Umowa przedmałżeńska, jaką podpisała Caroline, zawierała bardzo szczegółowe warunki: od kwestii ewentualnej zdrady po wyliczone kwoty na bieżące wydatki i częstotliwość podróży. Po urodzeniu dziecka miała zostać we Włoszech, nawet gdyby się rozwiedli. Każdy popełniony grzech miał skutkować pomniejszeniem kwoty należnej jej w razie rozwodu, a była ona bardzo wysoka. Caroline podpisała umowę bez słowa sprze-

ciwu. Skoro Valente dotrzymał wcześniej złożonych obietnic, nie oczekiwała niczego więcej.

W drodze do kościoła siedziała jak na rozżarzonych węglach. Valente uparł się, by wzięli ślub w tym samym kościele, w którym czekał na nią pięć lat wcześniej. Na schodach leżał czerwony dywan, kolejny dowód na operatywność ludzi Valentego. Caroline nie mogła pozbyć się wrażenia *déjà vu*. Przez lata zastanawiała się bowiem, jak wyglądałoby jej życie, gdyby poślubiła Valentego.

Całą przestrzeń surowego wnętrza kościoła wypełniały kwiaty. Caroline odsunęła od siebie wspomnienia pierwszego ślubu. Valente to nie Matthew, skarciła się w duchu. Valente stał przed ołtarzem w idealnie skrojonym fraku. Odwrócił się do niej. W jego oczach odmalował się nieklamany zachwyt.

Wewnętrzny głos mówił jej, że pod koniec dnia Valente nie będzie taki zachwycony. Pragnął jej, ale ich małżeństwo zniszczy jego pragnienie już na samym początku.

Uroczystość była krótka i wzruszająca. Valente mocno trzymał ją za rękę, gładko wsunął jej obrączkę na palec. W chwili, kiedy pastor ogłosił ich mężem i żoną, a Valente pochylił się, żeby ją pocałować, uświadomiła sobie, że nie jest już nietykalna.

- Masz lodowatą skórę, chyba zmarzłaś, *belezza mia* - szepnął.

Caroline nie zmarzła. Zmroziła ją myśl o zbliżającej się nieuchronnie chwili, w której Valente przekona się o jej bezużyteczności jako kobiety. Wtedy przestanie być jego „piękną”.

- Wyglądasz ślicznie. Kto wybrał suknię?

- Ja - przyznała nie bez dumy. - Mama za bardzo lubi kokardy i falbany.

Valente pochylił się do jej ucha i wyszeptał:

- A ja bardzo lubię koronki.

Caroline spąsowiała. To była aluzja do prezentu, jaki przesłał jej wczoraj. Komplet jedwabnej koronkowej bielizny barwy kości słoniowej: biustonosz, figi, pas, pończochy i podwiązki. Nigdy nie miała czegoś takiego na sobie. Zmusiła się do włożenia tego pod suknię. Żaden inny prezent nie powiedziałby jej jaśniej, czego pan młody od niej oczekuje.

Valente wymarzył sobie kobietę, która będzie paradować przed nim półnaga, a w łóżku okaże się śmiała i bezpruderyjna. Kobieta pewna swojej urody i seksualności chciałaby nosić taką bieliznę, by podniecać swojego partnera. Ale Caroline bała się męskiego podniecenia, świadoma własnych ograniczeń i lęków, małych piersi i wąskich bioder, tak odległych od bujnej kobiecości, jaką wołała większość mężczyzn.

- Wyglądasz jak królowa śniegu. Uśmiechnij się - poinstruował ją Valente na schodach przed kościołem. Jego ochroniarze pilnowali, by fotoreporterzy nie wychodzili zza barierek. Tłumek dziennikarzy wykrzykiwał pytania w niezrozumiałym języku.

- Czemu się nami interesują? To cudzoziemcy? - wyszeptała.

- Włosi. U siebie jestem bardzo znany. To naturalne, że moja żona jest obiektem zainteresowania dziennikarzy.

Przyjęcie weselne odbywało się w hotelu, w którym zatrzymał się Valente. Jego fizyczna powściągliwość wobec niej zamieniała się w zachowanie męża wobec żony. Obejmował ją w pasie, brał za rękę, tańczył, mocno przyciskając do siebie, że aż brakowało jej tchu. Czowała jego podniecenie.

- Czekam, kiedy wreszcie będziemy sami, *cara mia* - szepnął jej do ucha.

- Tak - odparła ze ściśniętym gardłem, bojąc się chwili, w której przestanie się kryć za obecnością innych.

Zakrył dłonią jej kieliszek do szampana, gdy kelner usiłował go napełnić.

- Chcę, żeby moja żona była przytomna - powiedział żartobliwie.

Usiłowała skwitować te słowa śmiechem, ale jej się nie udało.

- Nie mam problemu z alkoholem - zaproponowała słabo.

- Ale masz problem z jedzeniem - odparował. - Bawisz się nim, a nie jesz.

- Tracę apetyt, kiedy jestem zdenerwowana, to wszystko.

- Czym się tak denerwujesz?

- Twoimi gośćmi. Tutaj są bardzo ważni ludzie. - Caroline rozpaczliwie szukała rozsądnie brzmiącego wytłumaczenia, bojąc się podać prawdziwy powód.

Wśród gości Valentego byli włoscy politycy, międzynarodowi biznesmeni i liczni pyszałkowaci kuzyni zachowujący się niczym arystokraci niezadowoleni z konieczności obcowania z przedstawicielami niższych klas społecznych. Kiedy spytała, skąd nagle w

jego drzewie genealogicznym takie osoby, Valente wzruszył ramionami i odpowiedział wymijająco.

- Nie daj się nikomu zdołować, *tesora mia*. To twój dzień. Ty jesteś tu najważniejsza.

Caroline nie czuła się najważniejsza. Czuła się jak oszustka. Komentarze matki utwierdziły ją w tym przekonaniu.

- Pomyśl tylko - mówiła Isabel Hales, gdy córka zmieniała ślubny strój na szafirową sukienkę i zdobiony koralikami żakiet - pięć lat temu odrzuciłaś Valentego, a on zbił majątek i wrócił, żeby cię zdobyć!

- Było inaczej. Nie pojawiłam się wtedy w kościele i bardzo go zawiodłam.

- To nie twoja wina.

Pięć lat temu Valente mnie kochał, a teraz jestem dla niego tylko seksualną zdobyczą, pomyślała gorzko.

Tuż po starcie prywatnego odrzutowca Valente utkwiał w niej badawczy wzrok.

- Co się z tobą dzieje? Wyglądasz, jakby ktoś wyssał z ciebie życie. Od wyjścia z kościoła zachowujesz się jak chodząca i mówiąca lalka.

Caroline skurczyła się w miękkim skórzanym fotelu.

- Przez dwa tygodnie żyłam w ciągłym napięciu - odrzekła.

- *Per meraviglia!* To był dzień twojego ślubu! Czyż nie tego właśnie chciałaś? - zachnął się. Odpiął pas i wstał z miejsca.

Słyszała pulsowanie krwi w uszach. W końcu dopięła swego. Nalegała na małżeństwo, którego on wcale nie chciał, mimo to zorganizował wszystko i świetnie odegrał rolę pana młodego. „Chodząca i mówiąca lalka”, powiedział. Trafił w sedno. Z jednej strony nie znał jej w ogóle, z drugiej zaś znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że coś jest nie tak. Niełatwo powiedzieć świeżo poślubionemu mężowi o lęku przed nocą poślubną. Przez chwilę miała taki zamiar, ale kiedy zbierała się na odwagę, do kabiny wszedł steward z wózkiem z napojami.

- Jestem po prostu zmęczona - mruknęła przepaszająco.

Mówiła prawdę. Miała za sobą kilka nieprzespanych nocy.

Valente przyjął do wiadomości to wytłumaczenie. Uśmiechnął się do niej, odpiął jej pas i wziął ją na ręce.

- Spróbuj się zdrzemnąć podczas lotu.

Zaniósł ją do części sypialnej i pomógł zdjąć żakiet. Zdjęła buty i położyła się w sukience. Przymknęła oczy.

- Nie byłoby ci wygodniej bez sukienki? - spytał zaskoczony.

- Tak jest mi dobrze.

Odetchnęła, dopiero gdy zamknął za sobą drzwi.

Wpatrzona w sufit, zastanawiała się, co teraz zrobi...

TLR

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Caroline była pewna, że lecą do Wenecji, a tymczasem wylądowali w Toskanii. Teraz jechali pośród wiosek rozłożonych na wzgórzach i winnic skąpanych w świetle zachodzącego słońca. W końcu ciekawość zwyciężyła i zdecydowała się przerwać milczenie.

- Dokąd jedziemy? - spytała ciekawie.

- Do willi Barbierich, którą zostawił mi w spadku dziadek Ettore.

- Kiedy umarł?

- Trzy lata temu.

- Byliście ze sobą zżyci?

- Nie w takim sensie, jak myślisz. Niewiele nas łączyło prócz więzów krwi, ale świetnie się rozumieliśmy.

Caroline nie była przygotowana na widok okazałej rezydencji, do której wiódł długi podjazd obsadzony cyprysami.

- Wielkie nieba! Kim był twój dziadek? - wymamrotała.

- Hrabią z wieloma pomniejszych tytułami i rodowodem sięgającym średniowiecza. Człowiekiem dumnym i inteligentnym, który uznał moje istnienie dopiero wtedy, gdy reszta krewnych doprowadziła go do ruiny.

- Fascynująca historia.

- Nie chcę jej opowiadać, *piccola mia*. Wystarczy, że twoja matka oszaleje z radości, gdy prześlesz jej zdjęcia rezydencji i wspomnisz o moich powiązaniach z arystokracją.

Caroline poczerwieniała, ale nie mogła odmówić mu racji. Rewerencja Isabel Hales dla społecznego statusu i bogactwa była tyleż znana, co zawstydzająca.

Valente wprowadził ją do domu. W wielkim okrągłym holu powitał ich ukłonem starszy pulchny mężczyzna wraz z długim szeregiem pozostałych pracowników.

- To zarządca rezydencji, niezastąpiony Umberto - przedstawił go Valente Caroline z uśmiechem.

Z wrażenia nie mogła wykrztusić ani słowa, choć Umberto zwrócił się do niej po angielsku. Pięć lat wcześniej Valente opowiadał jej o ciasnym wilgotnym weneckim mieszkanku bez wygod. Teraz żył po królewsku. Żaba zamieniła się w księcia, chociaż Caroline wątpiła w szczęśliwe zakończenie ich historii.

Napięcie ustąpiło, gdy wybiegła jej na powitanie Koko. Caroline krzyknęła z radości.

Z donośnym miauczeniem kotka ocierała się o jej kostki, zanim pozwoliła się wziąć na ręce i pogłaskać. Valente podszedł bliżej. Koko najeżyła się i zaczęła prychać.

- Koko, nie wolno - upomniała ją Caroline i dodała: - Na Matthew też tak reagowała.

Valente zacisnął szczęki. Zorientowała się, że palnęła głupstwo.

Kolacja czekała na nich w jadalni tak wielkiej i imponującej, jakiej można się spodziewać w domu, w którym hol mógłby służyć za plac defilad. Koko usiadła u stóp Caroline, żałośnie pomiaukując. W końcu Caroline pozwoliła swojej ulubienicy wskoczyć sobie na kolana.

- Ta kotka jest potwornie rozpieszczona - zauważył niezadowolony Valente.

- Pewnie tak, ale jestem do niej bardzo przywiązana - przyznała Caroline.

Pamiętając, że Valente zauważył jej brak apetytu, tym razem starała się jeść wszystko, co lądowało na jej talerzu. Martwiło ją, że próbuje go zadowolić, tak jak kiedyś próbowała zadowolić Matthew i poniosła sromotną klęskę. Czy nadejdzie kiedyś taki czas, gdy zadowoli siebie? Po kolacji Valente wydał Umberto jakieś polecenie po włosku i powiódł ją po marmurowych schodach na górę.

- To twój pokój - oznajmił, zamykając drzwi, zanim Koko przekroczyła próg. Dał jasno do zrozumienia, że istnieją granice jego cierpliwości. W wielkiej sypialni stały antyki i wazon z kwiatami.

Pokazał jej łazienkę, garderobę, a na koniec otworzył trzecie drzwi.

- A to mój pokój. Potrzebuję swojej przestrzeni, *piccola mia*.

Ta uwaga przyprawiła ją o ukłucie w sercu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do środka wszedł Umberto z szampanem, zręcznie nalał go do kieliszków, po czym bezszelestnie wyszedł.

Caroline pokręciła głową, gdy Valente podał jej kieliszek. Sam upił tylko łyk, a potem wolno przyciągnął ją do siebie.

- A teraz pokaż mi, jak się cieszyć małżeństwem.

- Rozczaruję cię - wyrzuciła z siebie.

- To niemożliwe. - Odwrócił ją i rozpiął zamek sukienki, która opadła na podłogę.

Caroline była świadoma, jak musi wyglądać w skąpej koronkowej bieliźnie, którą jej podarował. Westchnął z zachwytem.

- Wyglądasz olśniewająco. Nie mogę uwierzyć, że wreszcie jesteś tu ze mną, *beleza mia*.

Jego wzrok wędrował od drobnych jędrnych piersi do szczupłych nóg w pończochach.

Przywarł głodnymi ustami do jej warg. Zadrżała z obawy przed jego namiętnością i siłą.

Nagle wziął ją na ręce i zaniósł do szerokiego łóża.

Leżała bez ruchu. Przypominała mu łanię patrzącą na myśliwego mierzącego do niej z dubeltówki. Nie rozumiał jej zachowania. Walczyła o to małżeństwo, ale jak na naciągaczkę nie starała się zawrzeć najkorzystniejszej dla siebie umowy przedmałżeńskiej. Prawnicy zapewnili go, że Caroline w żaden sposób nie naruszy jego majątku. Najwyraźniej to nie pieniądze ją pociągały. Może pozycja społeczna?

Zdejmując marynarkę, krawat i buty, zastanawiał się, co się z nią dzieje. Zawsze była nieśmiała i trochę nerwowa, ale kobieta, która była mężatką przez prawie cztery lata, chyba nie powinna być aż tak nerwowa?

Caroline brakowało tchu. Miała zamiar zamknąć oczy i myśleć o Anglii, jak robiły to przed nią niezliczone kobiety. O przyjemności nie mogło być mowy. Powtarzała sobie, że z Valentem musi się udać. Zdjęła buty i wślizgnęła się pod kołdrę. Zastanawiała się, jak zareaguje, gdy poprosi go, by zgasił światło. Kiedy zrzucił bokserki i ujrzała go nagiego w pełni jego męskości, już wiedziała, że nie jest w stanie dać mu tego, czego chciał.

Valente zmarszczył brwi. Patrząc na znieruchomiałą Caroline, nie wiedział, czy jest chętna, czy nie. Dziwne, ale nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, że ona może

go nie chcieć. Był aż tak próżny, że nie brał takiej możliwości pod uwagę? A przecież czuł między nimi przyciąganie jak przed pięciu laty. Odzyskawszy pewność siebie, położył się obok niej. Delikatnie przywarł do niej i zaczął ją całować. Wydała z siebie ciche westchnienie. Ale kiedy poczuła na udzie jego pulsującą męskość, a palce wprawnym ruchem rozpięły jej stanik, wpadła w panikę. Wszystko działo się za szybko.

Przypomniała sobie drwiny Matthew. Skuliła się, gdy Valente zamknął jej pierś w dłoni. Zamarła, oczekując w najlepszym razie dyskomfortu, w najgorszym - bólu.

- Masz piękne piersi, *belezza mia* - szepnął, podziwiając jej porcelanową skórę.

Pochylił się i wziął sutek między wargi.

Caroline odruchowo odsunęła go od siebie.

- Proszę, nie...

Zaskoczony Valente przerwał pieszczotę.

- Nie lubisz tego? *Bene*, nic się nie stało.

Caroline zacisnęła powieki. Oczywiście, że się stało! Kiedy położył jej rękę na udzie, zamarła ze strachu. On mnie nie krzywdzi, powtarzała sobie w duchu.

Valente nie posiadał się ze zdumienia. Była blada jak ściana i nie reagowała na jego dotyk. Czuł jej fizyczny i psychiczny opór. Nigdy wcześniej nie spotkał się z taką reakcją. Jej widome cierpienie raniło jego męską dumę.

- Co się stało? To nasza noc poślubna, a ja czuję się przy tobie jak gwałciciel.

Uniosła powieki.

- Przepraszam, jestem zdenerwowana.

Nie chciała go. Caroline go nie chciała. Valente spojrział w jej szare oczy. Prócz lęku nie było w nich nic. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że to możliwe. Zanurzył dłoń w jej włosach, przytrzymał głowę i wygłodniały przywarł wargami do jej ust.

Czując się jak w pułapce, Caroline zareagowała instynktownie. Z całej siły odepchnęła go od siebie, przetoczyła się przez łóżko i usiadła na podłodze.

- Nie mogę tego zrobić, nie mogę! - wyjęczała.

Ze zdenerwowania cała się trzęsła.

Valente zerwał się z łóżka na równe nogi. Obejmując się ramionami w obronnym geście, Caroline patrzyła, jak wkłada bokserki. Widziała jego zaciśnięte szczęki,

zmarszczone gniewnie czoło. Znowu go zawiodła. I znowu zraniła. Serce pękało jej z bólu. W tej chwili odczuwała do siebie nienawiść.

Odwrócił się do niej. Przewiercał ją złowrogim spojrzeniem.

- O co chodzi? Przecież chciałaś, żebym się z tobą ożenił...

- Wiem, wiem. Przepraszam.

- Przeprosiny nie wystarczą. Czekam na wyjaśnienie.

- Mówiłam ci, że nie jestem dobra w łóżku.

- To, co się przed chwilą stało, to coś znacznie gorszego. Zamieniłaś się w kłodę drewna, a potem mnie odepchnęłaś, jakbym ci robił krzywdę.

- Myślałam, że z tobą będzie inaczej. Przepraszam. Nie mogłam tego znieść - wykrztusiła.

Walczyła z napływającymi do oczu łzami.

Do Valentego dotarły tylko ostatnie słowa. Nie mogła tego znieść. „Tego”, czyli jego dotyku i bliskości. Wściekły zacisnął pięści.

- Dlaczego w ogóle za mnie wyszłaś?

- Najpierw chcę się ubrać. Potem możemy... porozmawiać - odparła, krzyżując ręce na nagich piersiach.

- *Maledizione!* Dość tych bzdur. Masz mówić teraz - wycodził groźnie.

Zaskoczyła go. Zerwała się, pobiegła do łazienki, zatrzasnęła za sobą drzwi i zarygłowała je. Drżącymi rękami zdjęła bieliznę. Nienawidziła tych koronkowych wymyślnych kompletów, które przypominały jej o własnej nieudolności w sferze uwodzenia.

- Tracę cierpliwość. Jeśli nie wyjdiesz, rozwalę drzwi - ostrzegł Valente.

Zdjęła wiszący na drzwiach elegancki turkusowy szlafrok i owinęła się nim szczelnie. Wyczuła zapach kobiecych perfum. Jego właścicielka była o wiele wyższa od niej. Valente na pewno miał wiele kochanek, pomyślała. Naparł na drzwi z gwałtowną siłą. Po drugim uderzeniu zasuwa puściła.

Caroline stała niczym męczennica za wiarę w szlafroku jego byłej kochanki, który służba zapomniała usunąć. Nie chciał, by cokolwiek przypominało mu teraz o Agnese. Zmysłowej i nienasyconej Agnese, która błagała, by jej nie odprawiał, ponieważ żadna żona jej nie zastąpi. Piękna i próżna Agnese w tym jednym miała rację.

- Jak możesz się tak zachowywać? - zawołała rozdygotana na widok tego pokazu męskiej agresji.

- A ty? - Objął ją w pasie i poprowadził do sypialni. - Należy mi się wyjaśnienie. Dlaczego nalegałaś na ślub, skoro żywisz do mnie uczucia, jakie właśnie zademonstrowałaś?

Tego pytania bała się najbardziej.

- Nie chciałam być tylko kochanką. Po takiej scenie nie pomógłbyś moim rodzicom. W rachubę wchodziło tylko małżeństwo. To twoja wina. Złożyłeś taką hojną ofertę za bycie z tobą, że nie mogłam odmówić.

- Od samego początku wiedziałaś, że chcę od ciebie jedynie seksu. Wrobiłaś mnie. - Jego oczy miały błyskawice.

Caroline spuściła wzrok.

- Nie miałam wyjścia. Liczyłam, że nam wyjdzie.

- Jak mogłaś? Byłem tak napalony, że nie widziałem sygnałów ostrzegawczych. Trzymałaś mnie na dystans i doprowadziłaś do ołtarza. Jesteś oszustką!

- Tak, ale od samego początku próbowałam powiedzieć ci prawdę o sobie. Jestem oziębła. To mój problem. Nie ma nic wspólnego z tobą - powiedziała, burząc obronny mur, jaki wokół siebie zbudowała.

Teraz, gdy Valente poznał jej sekret, czuła się obnażona.

- *Dannazione!* Jak to nie ma nic wspólnego ze mną? Obiecałaś, że urodzisz mi dziecko. Jest nadzieja, że tak się stanie?

- Nie ma - odparła, blada jak kreda.

- Oszukałaś mnie. W swoich kalkulacjach pominęłaś jeden istotny fakt. Jeśli małżeństwo nie zostanie skonsumowane, mogę je unieważnić i w świetle prawa będzie tak, jakbym nigdy nie był żonaty. Uwolnię się od ciebie, a ty nie dostaniesz ani grosza.

Po tych słowach zebrał swoje rzeczy, ruszył do sąsiedniej sypialni i z trzaskiem zamknął drzwi.

Caroline siłą woli powstrzymała się, żeby za nim nie pobiec. Valente jej nienawdził. Chciał się od niej uwolnić jak najszybciej. Miała wrażenie, że spada w przepaść bez dna. „Chciałem od ciebie jedynie seksu”. I tej jedynej rzeczy nie mogła mu dać.

Musiała się skonfrontować ze swoimi ukrytymi pragnieniami. Wyszła za niego dla dobra rodziny? Dla ratowania pracowników przed bezrobociem? A może po prostu marzyła, by cofnąć czas o pięć lat i dać sobie drugą szansę? Tyle że przeszłości nie można cofnąć, a oziębłość przekreślała szanse na szczęście. Zrozpaczona Caroline szlochała w poduszkę.

Mimo późnej pory Valente chciał zadzwonić do swoich prawników i zlecić im uwolnienie go od dopiero co poślubionej żony. Wyłączył emocje, skupił się na konkretnym działaniu. Perspektywa poinformowania innych, że żona odrzuciła go w noc poślubną, odebrała mu jednak chęć działania. Ubrał się, zbiegł po schodach, nalał sobie drinka w salonie i poszedł do loggii.

„Myślałam, że z tobą będzie inaczej”. Słowa Caroline dźwięczały mu w uszach. Czy z Matthew było jej aż tak źle? Na tę myśl jego gniew stopniał. Nie lubiła seksu. Tę „zasługę” można przypisać tylko Matthew Baileyowi. Przemierzał loggię i próbował połączyć w jedną całość wszystko, co wiedział o swojej żonie.

Pięć lat temu była nieśmiała, niewinna i pełna zahamowań, ale nigdy nie okazywała strachu, gdy jej dotykał. W jej reakcjach nie było nic nienormalnego. A teraz? Czy to on budził w niej odrazę, czy seks jako taki? Dlaczego uciekła do łazienki? Bała się, że on nie przyjmie do wiadomości jej odmowy? Zacisnął zęby. Bolało go to przypuszczenie. Kiedy ujrzał jej strach, wszystko nabrało sensu. Musiała się upić, żeby przyjść do niego do hotelu. Była przygnębiona w dniu ślubu ze strachu przed nocą poślubną.

Nie przyznała się do swojego problemu ze strachu przed odrzuceniem. A Valente był jedynym mężczyzną mogącym uratować jej rodzinę.

Rozumiał jej motywy, choć nie mógł darować jej oszustwa. Była mu winna wyjaśnienie.

Kiedy wszedł bez pukania do sypialni, uniosła głowę znad poduszki. Wyglądała żałośnie: potargane włosy, czerwony nos, podpuchnięte oczy. Koko leżała przy niej zwinęta w kłębek.

- Czego chcesz? - spytała z napięciem w głosie.

Wziął na rękę prychnającą kotkę i wyniósł ją na korytarz. Koko porała mu wierzch dłoni ostrymi pazurkami.

- Może wchodzić wszędzie, ale nie do sypialni - oznajmił stanowczo.

- Jeśli masz mi coś więcej do powiedzenia, nie możesz zaczekać do jutra?

- Nie. Miałem fatalny dzień ślubu i jeszcze gorszą noc poślubną. Chcę wiedzieć, co cię tak odstręczyło od seksu.

- Nie będę rozmawiać z tobą o tak intymnych sprawach! - zaprotestowała.

Przysiadł na brzegu łóżka.

- Skoro tak, to jedynym wyjściem dla ciebie będzie rozmowa z seksuologiem.

Na jej twarzy odmalowało się przerażenie. Uśmiechnął się sardonicznie.

- Czyżbym wygrał walkowerem? Tak czy owak, przydałby ci się terapeuta.

- Nie chcę o tym rozmawiać - westchnęła.

- Trudno. - Niespodziewanie położył się obok niej na poduszkach.

- Co robisz?

- Moszczę się - odparł swobodnie. Demonstracyjnie przyjął wygodną pozycję, która kontrastowała z jej wzrastającym napięciem. - Opowiedz mi o swojej nocy poślubnej.

Caroline zbladła.

Valente obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem. Wybrał trudną chwilę na swoje przesłuchanie, ale tylko w ten sposób mógł wyciągnąć od niej prawdę.

- Sypiałaś z nim przed ślubem?

- Nie okazywał mi zainteresowania. Teraz wiem, że poślubił mnie dla własnej korzyści. Byłam głupia. Uznałam, że między nami wszystko się ułoży. Dopiero po ślubie zorientowałam się, że podoba mu się inny typ kobiety.

- Jak się zorientowałaś?

Leżała bez ruchu, wpatrzona w sufit, wbijając paznokcie w splecione kurczowo dłonie.

- W noc poślubną był pijany. Śmiał się i drwił, że jestem płaska jak deska. Był zły, kiedy nie reagowałam tak, jak chciał. Był brutalny. Sprawiał mi ból. A potem stracił zainteresowanie mną. Próbował jeszcze parę razy, ale nic nam nie wychodziło. Złościł się

coraz bardziej. Oznajmił, że przeze mnie stał się impotentem, a później przeniósł się do sypialni obok.

- Kiedy w końcu skonsumowaliście małżeństwo? - spytał przejęty.

- Nie skonsumowaliśmy. Miał romans z kobietą w swoim typie. Lubił o niej opowiadać - odparła Caroline, przelykając ślinę.

Valente zmarszczył brwi. Powoli otwierały mu się oczy na smutną prawdę o jej związku z Matthew Baileyem.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy nie uprawiałaś z nim seksu?

Odwróciła się do niego plecami i dopiero potem zaczęła mówić.

- Po trzech miesiącach więcej do mnie nie przyszedł. Zachowywał pozory przed swoimi rodzicami, bo z nimi mieszkaliśmy. Na szczęście dom był duży. Przez większość czasu traktował mnie jak powietrze.

Valente odwrócił ją do siebie, by spojrzeć jej w twarz.

- Czy nadal jesteś dziewicą? - zapytał.

- Jakie to ma znaczenie? - odburknęła, zła i zawstydzona tym dochodzeniem.

- Dla mnie wielkie, *belezza mia*. Odzyskuję to, o czym myślałem, że zostało mi ukradzione - oznajmił otwarcie.

Całe napięcie z niego uszło.

- Co jeszcze ci zrobił? Maltretował cię?

- Nie, uderzył mnie tylko raz. Kiedy odkrył, że szukałam informacji o tobie w internecie.

Valente był zbulwersowany. Chłopięca duma, że Caroline szukała o nim informacji, przeszła w smutek na wieść o tym, co musiała z tego powodu wycierpieć.

- Czas spać - wymamrotał i zaczął układać się wygodniej.

- Tu? Razem? - spytała zaniepokojona.

- *Si*. Spanie osobno jeszcze bardziej nas podzieli. Obiecuję, że nie wpadnę w złość, nigdy nie będę brutalny i nigdy cię nie uderzę - powiedział wolno i dobitnie.

- I nie będziesz mnie zmuszał do niczego? - spytała, chcąc się jeszcze upewnić.

Całe szczęście, że Matthew Bailey już nie żył. Valente nienawidził mężczyzn, którzy znęcali się nad kobietami.

- Oczywiście, że nie. Chciałbym, żebyś zaczęła mi ufać - poprosił.

- To bardzo trudne - przyznała.

Patrzyła, jak wstaje, idzie do garderoby i zamyka za sobą drzwi. Po chwili wyszedł stamtąd z bordową koszulą nocną z cienkiego jedwabiu i rzucił ją na łóżko.

- Kupiłem ci to w prezencie ślubnym. Przebierz się - powiedział.

- Czyj jest ten szlafrok?

- To bez znaczenia.

Valente zadumał się nad tym, że zawsze lubił wyzwania. Zdobył wiele, ale nic nie przyszło mu łatwo. Z drugiej strony, nie był przygotowany na tak długie czekanie na nagrodę. Ból w podbrzuszu przypominał, że idea celibatu nigdy do niego nie przemawiała. W tym przypadku cierpliwość będzie wyjątkowo trudnym wyzwaniem.

Caroline bez słowa poszła do łazienki. Zdjęła szlafrok - była pewna, że należy do dawnej kochanki - i włożyła koszulę od Valentego. Wróciła do sypialni i wślizgnęła się do łóżka. Valente się rozbierał. Odwróciła wzrok.

- Nie składam innych obietnic, *piccola mia*. Dzisiejszy wieczór zmienił wszystko między nami.

- Tak - przyznała beznamiętnie, zakopując się w pościeli.

- Nie podejmuję pochopnych decyzji. Dam szansę naszemu małżeństwu. Będziemy się posuwać dalej krok po kroku.

Łzy wzbierały jej pod powiekami. Była wybrakowanym towarem, ale zanim on odeśle ją do Anglii, podda ją próbie. Po raz kolejny mężczyzna utwierdzał ją w przekonaniu, że ma do zaoferowania jedynie ciało. Urażona protekcjonalnością Valentego, mocno zacisnęła powieki. Modliła się w duchu o szybki sen. Nie była w stanie myśleć o przyszłości.

Co ją czekało? Valente na pewno się z nią rozwiedzie. Nic mu nie przyjdzie z tkwienia w małżeństwie z taką kobietą jak ona. Nie wniosła w posagu żadnej firmy, nie da mu dziecka. Znowu okazała się beznadziejna.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Chłonąc malowniczy widok rozciągający się z tarasu Villi Barbieri, Caroline miała wrażenie, że jest w raju.

Był cudowny słoneczny dzień. Otaczała ją niezmacona cisza. Na horyzoncie majaczyły zamglone sylwetki Alp. Na szczycie pobliskiego wzgórza leżała senna wioska. Za wzgórzami okrytymi zielenią akacji, orzechów i dębów rozciągała się żyzna dolina z gajami oliwnymi i rzędami winorośli.

Caroline leżała w cieniu, z rozpiętą górą od bikini. Kotka Koko drzemała pod leżakiem. Ciągle reagowała na Valentego prychnaniem i kocimi fochami.

- Jest strasznie o mnie zazdrosna. Uważa, że ukradłem jej miejsce przy tobie - powiedział tydzień wcześniej, gdy znów go podrapała.

Była to prawda. Koko nie miała wstępu do sypialni, podczas gdy Valente spał z Caroline każdej nocy, kiedy przebywał w rezydencji. Regularnie podróżował między Villą Barbieri i Wenecją, zwykle jednak spędzał najwyżej jedną noc z daleka od niej. Kiedy był z nią, zasypiała i budziła się w jego ramionach. Zaczęła mu wreszcie ufać.

I pragnąć więcej niż tylko pocałunków. Kontrolując swoje pożądanie, wytrwale podsycił jej napiętność. Po czterech tygodniach była już gotowa na kolejny krok.

Najpierw zachęcał ją, żeby go dotykała. Im bardziej oswajała się z jego ciałem, tym mniejsze czuła napięcie. Lęk minął, gdy Valente udowodnił, że umie nad sobą panować.

Jego cierpliwość zaowocowała. Caroline przekonała się, że Valente jest tym mężczyzną, którego kochała, mając dwadzieścia jeden lat. Przynajmniej teraz nie był zupełnie pozbawiony seksualnej satysfakcji. Odkryła, jaką może mu dać przyjemność. Już wiedziała, że zdoła dotrzymać małżeńskiej umowy.

Nad jej głową rozbrzmiał silnik helikoptera. Niedługo potem na tarasie rozległy się kroki. Uniosła głowę.

- Myślałam, że wrócisz dopiero późnym wieczorem! - zawołała na widok męża.

Valente usiadł na leżaku obok. Miał poważną minę.

- Skoro jutro twój ojciec ma operację, a ty lecisz do Anglii, postanowiłem wrócić wcześniej.

- To dobrze - rozpromieniła się.

Miał ochotę porwać ją na ręce i zanieść do łóżka. Musiał jednak zapanować nad impulsem jaskiniowca. By się czymś zająć, pochylił się i zawiązał jej górę od bikini.

- Lubię te białe paski, są bardzo seksowne, *tesora mia* - powiedział miękko.

Usiadła, zaczerwieniona po nasadę włosów. Valente wodził oczyma po jej pełnych różowych wargach, okrytych stanikiem drobnych piersiach. Chciała je dla niego odsłonić. Zaszło jej w ustach. Męskie pożądanie w jego spojrzeniu przyprawiło ją o dreszcz. Zakręciło jej się w głowie. Cieszyło ją, że tak na niego działa, a jednak żyła w ciągłym strachu, że frustracja popchnie go w ramiona innej kobiety, zanim ona upora się ze swoim problemem.

- Muszę wziąć zimny prysznic albo...

- Albo? - szepnęła.

- Wezmę cię do łóżka, rozbiorę i będę się tobą bawił jak lalką - wyszeptał.

Zaskoczył ją. Było jeszcze wcześniej, a za dnia zwykli zachowywać się powściągliwie. Koniuszkiem języka zwilżyła zaschnięte wargi. Czowała pokusę, a jednocześnie bała się, że sprawy pójdą za daleko.

- Chyba tego nie zrobisz?

- Czy nie dowiodłem, że umiem się kontrolować?

Koko miauczała żałośnie, domagając się uwagi, gdy Caroline i Valente zniknęli jej z oczu.

- Ten kot nie umie przegrywać - zauważył Valente.

- Wpuszczam ją, kiedy wyjeżdżasz - przyznała Caroline.

- Zawsze kochałaś koty. Pamiętam, że przywiozłem ci kiedyś z Wenecji szklane figurki kotów.

- Ciągle je mam. Są w pudłach z moimi rzeczami w twoim domu w Wenecji.

Po przekroczeniu progu sypialni ujął jej twarz w dłonie i wolno ją pocałował. Przywarłszy do niego, zarzuciła mu ręce na szyję. Uniósł ją lekko. Ciągle ważyła nie-

wiele, ale jadła już więcej i nabrała nieco krągłości. Nacisnęła przycisk mechanizmu zasłaniającego okno.

- Psujesz zabawę - zażartował, choć słońce rozświetlało wnętrze sypialni nawet przez zasłony.

Lubił sam ją rozbierać, więc położyła się w bikini. Z zapartym tchem patrzyła, jak zdejmuje z siebie kolejne warstwy ubrania. Serce biło jej w oczekiwaniu na to, co nastąpi.

Położył się przy niej. Wtuliła się w niego. Wygłodniałymi wargami dotknął jej ust. Stęsknił się za mną, pomyślała zadowolona.

Jednym ruchem zdjął jej górę od bikini. Znieruchomiała na chwilę. Przypomniała sobie docinki Matthew.

Valente ściągnął z niej koldrę. Odruchowo zakryła piersi rękami. Nie starał się jej powstrzymać.

- Pozwól mi na siebie popatrzeć - szepnął.

Powoli opuściła ręce. Leżała bez ruchu, gdy całą uwagę skupił teraz na jej drobnych piersiach.

- Jesteś piękna, *gattina mia*. Nie wiesz tego, bo twój pierwszy mąż był prostakiem. Nie docenił ciebie, za to ja cię doceniam. I to bardzo.

Delikatnie musnął palcem jej sutek. Zamknęła oczy i zadrżała.

- To znaczy tak czy nie? - spytał.

- T-tak... - zająknęła się.

Ujął w dłoń całą jej pierś. Czuł się jak nastolatek odkrywający ciało kobiety. Pochylił głowę i muskał wargami aksamitną skórę.

Serce biło jej coraz szybciej, oddech przyspieszył. Czuła wilgoć między udami. Przywarła do Valentego mocniej, pragnąc intensywniejszych doznań. Jęknęła. Kiedy przez materiał dotknął najwrażliwszej części jej ciała, zastygła w bezruchu, ale tym razem zignorował jej reakcję. Delikatnie masował to miejsce, aż zaczęła wić się z rozkoszy.

Potem uniósł głowę, spojrzał jej w oczy i powiedział prosto i szczerze, co chce teraz zrobić. Poczzerwieniała i odwróciła wzrok. Naprawdę chciał to zrobić? Przypomniała

sobie inne intymne chwile, jakie już z nim dzieliła. Spontanicznie sięgnęła ku dołowi bikini, by pomóc Valentemu uwolnić ją od tej ostatniej części garderoby.

- Zamknij oczy, leż i daj się ponieść fali - powiedział i rozsunął jej uda.

Trzęsła się jak liść. Valente burzył kolejny mur. Zsunął się nieco, koniuszek języka zanurzył w jej pępku. Zachichotała. Przewrócił ją na plecy. Leżała przed nim naga i bezbronna.

- Nie myśl o niczym i zamknij oczy - przykazał czułym szeptem.

Gorąca fala rozlała się po jej ciele. Valente pieścił ją subtelnie koniuszkami długich palców. Gładził, muskał, drażnił wrażliwą esencję jej kobiecości. Potem robił to językiem. Caroline do reszty straciła kontrolę nad sobą. Puściły ostatnie hamulce. Miała wrażenie, że wychodzi poza ciało i unosi się pod sufitem. Z jej ust wydobył się zdławiony krzyk. A potem leżała bez sił, zdumiona i oszołomiona tym, czego właśnie doświadczyła.

- Nie spodziewałam się, że będzie aż tak cudownie - szepnęła w rozmarzeniu.

- Myślę, że nie znasz swojego ciała, *belezza mia*. Ja zaś pomagam ci je poznać. -

Zaśmiał się i zamknął ją w czułych objęciach.

Gdy do niej przywarł, poczuła na udzie jego potężną erekcję.

- Boże, ale ze mnie egoistka - wymamrotała.

- Dzisiaj chodziło tylko o ciebie. Ja wezmę zaraz zimny prysznic. Dziś wieczorem ochrzczimy nasze łóżko w Wenecji - obiecał.

- Zabierasz mnie do Wenecji? - zawołała.

- *Si*. Mam tam mnóstwo pracy. A ty polecisz do Anglii stamtąd.

- Świetny pomysł.

- Też tak myślę. Wenecja ci się spodoba - odparł, posyłając jej zuchwałe spojrzenie.

- Kiedy opowiesz mi o swojej przeszłości? Nie wiem, jaką drogę przebyłeś z wynajętego mieszkania do obecnego życia.

Valente zmarszczył brwi.

- To niewesoła historia. Moja matka pracowała w domu hrabiego Ettorego Barbieriego. Mój ojciec, Salvatore, pijak i utracjusz, był jego najstarszym synem. Kiedy moja matka miała siedemnaście lat, zgwałcił ją. Owocem tego gwałtu jestem ja.

Caroline słuchała go ze zgrozą w oczach.

- Hrabia nie uwierzył mojej matce i zwolnił ją. Pojechała do rodziny we Florencji. Kiedy się okazało, że jest w ciąży, wyrzucili ją na bruk. Też jej nie uwierzyli. Zarabiała na życie sprzątaniami w Wenecji. Powiedziała mi o wszystkim, dopiero gdy skończyłem osiemnaście lat. Wtedy była już chora na raka. Stałem twarzą w twarz z moim ojcem przed jednym z klubów, w którym często bywał. Nazwał moją matkę dziwką, a jego ludzie dotkliwie mnie pobili. Zagroził, że poda ją do sądu za rozpowszechnianie kłamstw o nim. Ona wtedy umierała. Rodzina Barbierich była powszechnie szanowana. Kiedy rozeszły się plotki o oskarżeniach mojej matki, niezłe mi się dostało. Kilka lat później Salvatore zginął w wypadku. Mój dziadek zaproponował wykonanie dyskretnego testu DNA. Dla spokoju własnego sumienia chciał się upewnić, że nie jestem jednym z Barbierich.

- Musiałeś nienawidzić rodziny ojca - stwierdziła współczująco.

- Żal mi było staruszka. Kiedy test potwierdził nasze pokrewieństwo, zaproponował mi pieniądze za milczenie. Odmówiłem. Wtedy nabrał do mnie szacunku. Nie chciałem być pijawką jak reszta jego rodziny. Studiowałem wtedy zaocznie biznes i hrabia obiecał, że da mi pracę, kiedy skończę studia. Ale ja miałem własne plany. Zawsze byłem niezależny. Pierwszy milion zarobiłem sam. Jestem bardzo dobry w korzystaniu z okazji - mruknął z drapieżnym uśmiechem.

Poznawszy tę historię, Caroline lepiej zrozumiała dumę i trudny charakter Valentego. Upojona dzisiejszym doznaniem, zyskała pewność, że wkrótce przełamie ostatnią barierę dzielącą ich od skonsumowania małżeństwa.

- W łóżku też - szepnęła figlarnie, objęła go mocno i pocałowała. - Tak bardzo cię kocham, Valente!

Nagle poczuła, jak zastyga w jej ramionach. Wyznanie miłości, które przyszło jej tak naturalnie, na nim wywarło zgoła odmienne wrażenie. Zapadła cisza.

Caroline powoli uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie oczekuję od ciebie odwzajemnienia - dodała niepewnie.

- Nie mam takiego zamiaru. Już nigdy nie poczuję do ciebie tego, co kiedyś - odparł twardo.

- Nie powinnam się była odzywać. Masz rację. Za wcześnie na takie wynurzenia - szepnęła, dotknięta tak jawnym odrzuceniem.

- Odpowiednia chwila nie nadejdzie nigdy. A teraz muszę wziąć prysznic - odparł chłodno i poszedł do własnej łazienki.

„Już nigdy nie poczuję do ciebie tego, co kiedyś”. Czemu nie ugryzła się w język? Jak mogła zachować się jak zadurzona nastolatka? Valente ciągle jej nie wybaczył. I prawdopodobnie już nie wybaczy.

W łazience złość wzięła górę nad smutkiem. Valente był pełen sprzeczności. Przez miesiąc odgrywał rolę idealnego męża, zrobił dla niej, ile mógł, w łóżku był czuły i cierpliwy, nigdy nie wywierał na nią presji, i nagle zmienił front. Miała prawo wiedzieć, na czym stoi. Włożyła letnią zieloną sukienkę i zeszła na dół.

Koko pobiegła za nią. Valente oglądał wiadomości w swoim gabinecie. Ściszył telewizor i rzucił jej krytyczne spojrzenie.

- Nie mam nastroju na odgrywanie rozdierających scen, Caroline - powiedział sztywno.

- Tym gorzej dla ciebie. Chcę i muszę wiedzieć, na czym stoję - odrzekła ze stanowczością w głosie.

- Masz czterdziestopięciostronicową umowę przedmałżeńską. Wiesz, na czym stoisz - odparł lodowatym tonem.

- Myślałam, że poszliśmy trochę dalej - przyznała.

Zabolało ją przypomnienie prawnych fundamentów ich małżeństwa.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Nic się przecież nie zmieniło prócz jednego: mamy trochę uciechy w łóżku. Wszystko jest zatem tak, jak należy. Dobrze wiesz, że nie ma żadnych sentymentów w naszej umowie, więc mówienie o miłości jest doprawdy śmieszne. Dotrzymałem słowa w kwestii finansów, teraz więc oczekuję, że zrobisz to, za co ci hojnie zapłaciłem.

Valente odarł ich związek z pozorów normalności i zmusił ją, by spojrzała nieprzyjemnej prawdzie w oczy. Pragnął jedynie jej ciała. I oczekiwał, że urodzi mu dziecko, dziedzica jego nazwiska i majątku.

- Dobrze. Pamiętaj tylko, że kto sieje wiatr, ten zbiera burzę - odparła z kamienną twarzą.

- Co masz na myśli? - spytał Valente, unosząc ciemną brew.

- Kiedyś uczucie do ciebie mi przejdzie. Z pewnością tak będzie, nie widzę w tobie bowiem mężczyzny, którego pokochałam przed laty. I nie jestem masochistką. Zastanów się dobrze, zanim poprosisz mnie o urodzenie ci dziecka. Czy powinno dorastać w napiętej i złej atmosferze? - spytała z godnością, mimo narastającego bólu za lewym okiem.

Wiedziała, że nadchodzi kolejny atak migreny.

TLR

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tej nocy łoże małżeńskie w luksusowej sypialni w Palazzo Barbieri nie zostało jednak ochrzczone. Pierwszy raz od dnia ślubu Valente i Caroline spali w osobnych pokojach.

Przez cały lot do Wenecji Caroline cierpiała z powodu migreny i mdłości. Przeróżliwy ból pulsował jej w skroniach. Żadne leki na to nie pomagały, podobnie jak tkliwe starania Valentego. Jego troskę przyjmowała nad wyraz obojętnie, spływała po niej jak woda z tłustego grzbietu kaczki. Skoro okazało się, że jej nie kocha, nienawidziła go z całego serca.

Podróż motorówką po wodach kanałów tylko pogłębiła jej cierpienie. Kiedy w końcu dopłynęli do pałacu nad Canale Grande, pulchna gospodyni o imieniu Maria odprowadziła ją do obszernej sypialni, pomogła jej się położyć i zaciągnęła wszystkie zasłony w oknach. Ból zagłuszał myśli Caroline i przytębiał jej zmysły. W końcu zjawił się lekarz w towarzystwie zafrasowanego Valentego. Dostała zastrzyk, po którym niemal od razu zasnęła. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, był dotyk miękkiego futerka syjamki Koko, która skorzystała z nieobecności Valentego w sypialni swojej pani i pomrukując, ułożyła się obok niej.

Rano atak migreny był już tylko wspomnieniem. Maria poinformowała Caroline, że o siódmej Valente zszedł do mieszczącego się piętro niżej biura. Pod jego nieobecność usiadła do śniadania na wielkim kamiennym balkonie z zapierającym dech w piersiach widokiem na najszlachetniejszą drogę wodną świata.

Valente dołączył do niej niespodziewanie. Miał na sobie garnitur w gołęmb kolorze, idealnie dopasowany do jego muskularnej sylwetki. Po chwili Maria przyniosła mu parującą kawę i postawiła ją na stole z żyłkowanym marmurowym blatem.

Valente z porcelanową filiżanką w dłoni oparł się o balustradę i utkwiał wzrok w Caroline.

- Czy czujesz się już lepiej? - spytał przeciągle.
- O tak, dziękuję - odrzekła mocnym głosem.

Jego widok przypomniiał jej wczorajsze popołudnie w sypialni. Poruszyła się niespokojnie na krześle i spłonęła lekkim rumieńcem.

- Jeśli chcesz, polecę z tobą do Anglii, *gattina mia* - zaproponował bez zająknięcia.

Przeniosła wzrok na elegancką chińską porcelanę, zadając sobie w duchu pytanie: czy to litość nad usychającą z miłości żoną, czy upajanie się świadomością, że ona go uwielbia? A wszystko przez jej głupotę. Nieopacznie wyznając mu miłość, sama zafundowała sobie to upokorzenie.

- Szkoda twojego czasu, skoro będę zajęta rodzicami - odparła swobodnym tonem.

Na balkonie pojawiła się atrakcyjna brunetka w eleganckim żakiecie. Przeprosiła ich oboje, podała Valentemu telefon i wyszła. Rzucił do słuchawki kilka melodyjnych zdań po włosku i odłożył aparat na stół.

- Podoba ci się widok z balkonu? - zapytał, najwyraźniej niewzruszony oznajmieniem, że jego obecność w Anglii nie jest potrzebna ani pożądana.

- Och, tak! Teraz rozumiem, dlaczego twierdziłeś, że nie mógłbyś mieszkać gdzie indziej. Żadne miasto na świecie nie może się równać z Wenecją. - Jej podziw był absolutnie szczery.

Valente niechętnie przyznał, że jej uroda również nie miała sobie równych. Słońce rozświetlało jej jasne włosy opadające luźno na ramiona, podkreślało nieskazitelność skóry, przydawało blasku jasnoszarym oczom. Jej obecność w tym domu wydawała się wprost nierealna. Natychmiast skarcił się za te myśli. Był przecież człowiekiem praktycznym. Gdzieś daleko, a może i całkiem blisko - kto wie, może nawet w jego ukochanym mieście - żyje kobieta równie piękna i pociągająca jak Caroline. Jest za to znacznie mniej skomplikowana niż ta, którą poślubił, i o wiele bardziej zabawna. Dobrze wiedział, że każdą kobietę można zastąpić inną. Nie potrzebował akurat Caroline. Nie da się jej złapać na tanie sentymenty. Nigdy więcej nie pozwoli żadnej kobiecie sobą zawładnąć.

Mimo tej wewnętrznej walki nie przestawał chłonać jej urody spod zmrużonych powiek i zastanawiać się nad tajemnicą jej powabu. W zamglonym spojrzeniu jej szarych oczu była obietnica, która działała mu na wyobraźnię. Poczuł nagle podniecenie. Może to i dobrze, że nie będzie jej przez kilka dni. To mu pozwoli uspokoić się i nabrać dystansu.

Pod jego spojrzeniem Caroline topniała jak wosk. Mimo złości nie była w stanie odwrócić od niego wzroku ani zapanować nad reakcjami własnego ciała.

Valente podjął nagłą decyzję. Uznał, że będzie miał jeszcze mnóstwo czasu, żeby ochłonać. Teraz nie musi się dręczyć wyrzeczeniami. Komu właściwie pragnął zaimponować? Złapał za telefon i kazał asystentce odwołać wszystkie spotkania. Nawet jeśli interesy były dla niego najważniejsze, to miał świetny powód, żeby złamać ustalone przez siebie samego zasady.

Wyciągnął do Caroline smagłą rękę.

- Chodź do mnie...

Jego charyzma wygrała bezapelacyjnie z jej początkową niechęcią i rezerwą. Drżąc z podszytego napięciem oczekiwania, wzięła go za rękę.

Przyciągnął ją do siebie i zamknął w objęciach. Wciągnęła w nozdrza znajomy męski zapach. Poprowadził ją z powrotem do *palazzo*. Przeszli przez ogromny salon z kryształowymi żyrandolami, a potem udali się schodami na górę do jego sypialni udekorowanej malowidłami ściennymi, przedstawiającymi igraszki rzymskich bogiń i bogów.

- Zdejmij marynarkę - powiedziała Caroline.

Valente wykonał jej polecenie z uśmiechem rozbawienia na twarzy. Poluzowała mu krawat i lekko trzęsącymi się dłońmi zaczęła rozpinąć koszulę, którą on niecierpliwie z siebie zerwał. Pochylił się, zanurzył dłonie w jej włosach i pocałował namiętnie i głęboko. Każda cząstka jej ciała rozgorzała miłosnym płomieniem.

Z niebezpiecznym błyskiem w oku wypuścił ją z objęć i cofnął się o krok.

- Przepraszam, *gattina mia*. Przestraszyłem cię. To był chyba zły pomysł.

Caroline już się zdecydowała. Zapragnęła wreszcie być taka jak inne kobiety. Nie chciała, żeby Valente dłużej się powstrzymywał, obchodził się z nią jak z jajkiem. Nie chciała, żeby nadal musiał ją chronić przed swoją żądzą.

- Już się ciebie nie boję - wyszeptała. - Podobał mi się ten pocałunek. Lubię czuć, że jesteś na krawędzi...

Spąsowiała pod jego gorącym spojrzeniem.

Wziął ją w ramiona i całował z coraz większym zapamiętaniem, jednocześnie delikatnie, ale stanowczo popychając ją w stronę łóżka.

- Z tobą zawsze jestem na krawędzi. Ale ciągle jesteś *virgo intacta*, dlatego nie mogę obiecać, że nie będzie bolało. Jesteś moją pierwszą dziewczyną, wiesz?

Caroline chciała być nie tylko jedyną, ale i ostatnią, lecz ważniejsze od wczorajszego upokorzenia stało się pragnienie pełnego zespolenia z Valentem.

- Pragnę cię i nie chcę dłużej czekać - wyszeptała ochryple.

Takiej właśnie zachęty potrzebował. Między pocałunkami wprawnie zdjął z niej jedwabną bluzeczkę. Oderwał się od jej warg jedynie na chwilę, aby nasycić oczy widokiem dziewiczych piersi w delikatnym koronkowym staniku. Pochylił się, złapał wargami jeden sutek, potem drugi, ssał je i chwycił lekko zębami przez materiał, ona zaś odrzuciła głowę do tyłu i przyjmowała te pieszczoty, pojękując z omdlewającej rozkoszy. Podciągnął jej spódnicę, sięgnął dłonią między uda, wsunął palec pod tkaninę, a kiedy poczuł wilgoć, wydał z siebie głośny pomruk zadowolenia.

- Marzyłem, żeby cię ubrać w najdroższą bieliznę, a teraz pragnę ją z ciebie zedrzyć - powiedział, rozpinając jej stanik.

Kiedy leżała już przed nim naga, okrywał pocałunkami coraz to nowe miejsca na jej alabastrowym ciele. Pieścił jej piersi, drażnił sterczące sutki, umiejętnie, z wprawą mistrza świadomego swojego kunsztu. A kiedy myślała, że nie zniesie już więcej tych słodkich tortur, powędrował w dół, w stronę esencji jej kobiecości. Dotknął tego wrażliwego miejsca kciukiem, a potem wodził nim, zataczając kręgi i wywołując fale gorącej rozkoszy, której dała się ponieść.

Kiedy ułożył ją na plecach i wsunął się na nią, każda komórka jej skóry wołała o więcej. Podłożył jej pod szczupłe biodra poduszkę.

- Jesteś bardzo drobna, ja zaś jestem straszliwie podniecony, *tesoro mia*.

Była już gotowa go przyjąć. Instynktownie wygięła się. Wszedł w nią delikatnie, potem mocniej i głębiej, aż poczuła ból. Napięła mięśnie i przygryzła wargę, ale nie chciała się cofnąć przed tą potężną, pierwotną siłą. Zamglonym wzrokiem popatrzyła mu w oczy.

- W porządku? - spytał z niepokojem.

- Nawet lepiej. Podoba mi się to, co robisz - odparła drżącym głosem.

- Liczę, że będziesz chciała to powtarzać w nieskończoność.

W oszołomieniu powitała intensywniejsze doznania, gdy Valente zaczął poruszać się w niej rytmicznie, z coraz większym zapamiętaniem. Nie istniało już nic oprócz ich jedności i kolejnych przyływów uniesienia. Kiedy w końcu nadeszła kulminacja, Caroline krzyknęła z rozkoszy i uniesienia.

- Chciałabym cię spakować do walizki i zabrać ze sobą do Anglii - przyznała w oszołomieniu, kiedy leżeli wyczerpani i szczęśliwi.

Valente roześmiał się głośno, pocałował ją i odgarnął jej włosy ze spoconego czoła.

- Mam nadzieję, że to komplement. Jesteś niezwykła, *belezza mia* - rzekł z uczuciem.

Chciała go objąć i wyrazić swój zachwyt i miłość, ale szybko stłumiła to pragnienie. Koniec z lechtaniem wybijającego ego Valentego!

- Ty także byłeś niezwykły, ale tego się można spodziewać po mężczyźnie z takim doświadczeniem. Dzięki tobie nie muszę się już bać seksu i możemy mieć w łóżku tyle przyjemności, ile tylko będziesz chciał. To przecież jedyne, co nas łączy.

Valente nie bardzo wiedział, jak się odnieść do tej szczerzej deklaracji, ale nie spodobał mu się jej oschły ton.

- Pamiętaj, że jesteśmy małżeństwem - przypomniał poważnie.

- Łączy nas seks - odparła. - Jak myślisz, ile czasu upłynie, zanim się mną znudzisz?

Usiadł i obrzucił ją spojrzeniem pełnym potępienia.

- Jak mógłbym się tobą znudzić! Przecież jesteś moją żoną.

- Czy to znaczy, że będziesz moim jedynym kochankiem? - W jej głosie pobrzmiwał cień zawodu.

- Ależ tak, do cholery! Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? - krzyknął rozzłoszczony.

Chęć utarcia ci nosa, odpowiedziała mu w duchu.

- No cóż, ty sam mówiłeś, żeby nie wnosić do małżeństwa niepotrzebnych sentymentów.

- Istnieje chyba cienka granica między szczerością a złym gustem - odparł oziębło.

- Czy w takim razie pytanie, do kogo należy turkusowy szlafrok wiszący w łazience w Villi Barbieri, jest według ciebie w złym guście? - spytała jadownicę.

Twarz Valentego stężała.

- *Si*. A także wysoce niestosowne.

- Ja zaś uważam, że pozostawienie dowodu obecności tej kobiety było w złym guście.

- Przyjmuję to do wiadomości. Czy możemy już zamknąć ten temat? - spytał zgryźliwie.

- Muszę się spakować.

- Pokojówka się tym zajmie. Ty zajmij się lepiej mną - zamruczał jak syty kocur.

Po tym nowym doświadczeniu Caroline odczuwała lekki ból i pomyślała, że kolejna runda seksu byłaby w tej chwili nierozsądną decyzją. Wyślizgnęła się z łóżka i poszła do łazienki. Rozmyślała o tym, że Valente, przy swoim poziomie libido, potrzebuje pewnie licznych podniet, trudno się więc dziwić obecności wielu kobiet wokół niego, w tym właścicielki turkusowego szlafroka. Pragnęła, by już nigdy ich nie potrzebował. I miała nadzieję, że w przeciwieństwie do Matthew nie będzie gonił za nowymi zdobyczami. Otwarcie jednak musiała przyznać, że żyje w małżeństwie, w którym nic nie jest oczywiste.

Resztę dnia spędziła na urządzaniu pracowni w pokoju na tyłach domu. Przez kilka godzin przygotowywała do wysłania zamówioną przez klientki biżuterię. Sprawdziła też zaległą korespondencję. Ostatecznie nie włączała komputera od dnia ślubu.

Krótko przed jej wyjazdem do pracowni wszedł Valente. Uśmiechnął się na widok kocich figurek, które jej kiedyś podarował. Potem przyjrzał się uważnie biżuterii. Był pod wrażeniem oryginalności projektów i mistrzostwa ich wykonania. Zmarszczył brwi, gdy raptem rozdzwonił się telefon. Zamiast odebrać, wyłączył go zniecierpliwiony.

- Zawsze jesteś taki zajęty - powiedziała, niechętnie myśląc o rozstaniu z nim.

- Prawie miesiąc spędziłem z tobą w Toskanii. W tym czasie przekazywałem obowiązki moim pracownikom i powstało trochę zamieszania. Trzeba to nadrobić, *belezza mia*. - Ujął w dłonie jej twarz i spojrzał jej w oczy.

Pochylił się, by ją pocałować. Rozpalał się coraz bardziej, aż w końcu ostatnim wysiłkiem woli oderwał się od niej.

- Dosyć - mruknął niewyraźnie.

Wyprowadził ją z pracowni na imponujące schody, które prowadziły do jego biura.

Caroline drżała na całym ciele. Nogi miała jak z waty. Schodziła wolno i niepewnie, wsparta o Valentego. U podstawy schodów ujrzała ponętą długonogą kobietę o bujnych rudych włosach, w białej sukni z lnu.

Zanim Valente zdążył cokolwiek powiedzieć, kobieta energicznie postąpiła na przód i stanęła między nimi. Ucałowała Valentego czule w oba policzki i zarzuciła go potokiem włoskich słów. W końcu rzuciła Caroline lekko drwiące spojrzenie.

- Jestem Agnese Brunetti, stara przyjaciółka Valentego. *Dios mio!* Rzeczywiście jesteś drobniotka! Czy znasz może włoski?

- Niestety nie.

- Valente i ja rozmawiamy w rzadkim miejscowym dialekcie. Należymy do tego samego ekskluzywnego klubu. Z każdym rokiem jest nas coraz mniej - wytłumaczyła ze śmiechem.

Obecność rudowłosej piękności zmroziła Caroline krew w żyłach. Nieomylnym kobiecym instynktem odgadła, że ma przed sobą właścicielkę turkusowego szlafroka pozostawionego w tokańskiej willi. W trakcie swobodnej pogawędki Agnese raz po raz łapała Valentego to za rękaw marynarki, to za klapy, jawnie demonstrując łączącą ich zażyłość. Caroline czujnie obserwowała jej mimikę i każdy ruch.

- Wybacz, ale Caroline spieszy się na samolot - oznajmił chłodno Valente, chcąc jak najszybciej zakończyć konfrontację obu kobiet.

Poprosił jednego z pracowników, by zaprowadził Agnese do biura, gdzie miała na niego poczekać.

- Znam ją od dawna - rzucił od niechcenia, pomagając Caroline wsiąść do łodzi motorowej zacumowanej przed wspaniałą bramą pałacu.

Przez całą drogę na lotnisko Caroline zadrezczała się porównaniami z Agnese. Nagle podróż do Anglii stała się dla niej wybawieniem od trudnego małżeństwa i bólu

nieodwzajemnionej miłości. Postanowiła w duchu, że teraz całą uwagę poświęci rodzicom.

Joe i Isabel Halesowie nadal mieszkali w apartamencie w hotelu. W rezydencji Winterwood trwała renowacja i przebudowa.

Caroline pojechała tam, żeby sprawdzić postępy prac. Potem zameldowała się w tym samym hotelu co rodzice. Towarzyszyła im w drodze do szpitala. Isabel bała się, że jej mąż umrze na stole operacyjnym podczas skomplikowanego zabiegu. Potrzebowała towarzystwa córki, by ukoić skołatane nerwy.

Operacja ojca trwała niespełna trzy godziny. Na szczęście przebiegła bez komplikacji. Po kilku dniach Caroline z radością zaobserwowała, że choremu wracają nadwątlone siły. Valente przesłał jej matce prospekty informacyjne o kilku luksusowych ośrodkach dla rekonwalescentów. Miała wybrać ten, do którego pojedzie wraz z mężem po jego wyjściu ze szpitala. Caroline czuła się już właściwie niepotrzebna.

Valente dzwonił do niej codziennie. Korciło ją, żeby zapytać o tajemniczą wenecką Agnese, gryzła się jednak w język. Nie chciała sprawiać wrażenia podejrzliwej i zaborczej żony. Sama przed sobą przyznawała, że owszem, jest podejrzliwa. W małżeństwie bez miłości i cieplejszych uczuć trudno było uwierzyć, że jedna kobieta wystarczy mężowi do szczęścia.

Pod koniec drugiego tygodnia Valente przyleciał odwiedzić jej rodziców. Towarzyszyło mu dwóch współpracowników. Nigdy ich wcześniej nie widziała. Zdumiała ją swoboda, z jaką jej rodzice obcowali teraz z Valentem. Trudno uwierzyć, że pięć lat temu traktowali go jak wroga publicznego numer jeden. Jego hojność i troska w ciężkich chwilach przełamały lody. Dla dwojga starszych ludzi stał się zaufanym członkiem rodziny.

Caroline zastała go w trakcie rozmowy z jej ojcem na temat przyszłości firmy Hales Transport.

- Co masz zamiar zrobić z naszą konkurencją Bomark Logistics? - spytał Joe.

- Uważam, że na rynku jest miejsce dla obu firm - odparł z namysłem Valente.

W wejściu do oranżerii, gdzie pacjenci przesiadywali ze swoimi gośćmi, ujrzał właśnie Caroline.

Z zaczesanymi do tyłu jasnymi włosami, w lawendowej sukience i kaszmirowym kardiganie z krótkimi rękawami wyglądała świeżo i naturalnie niczym dziki kwiat. Broniąc się przed narastającym podnieceniem, zracjonalizował swoją reakcję. Była bardzo ładna - jak tysiące innych kobiet, dopowiedział sobie w duchu. Nie mógł jednak powstrzymać się od niesfornych myśli. Czuł dumę i satysfakcję, że ta oto kobieta jest jego żoną i należy wyłącznie do niego. Kiedyś wprawdzie srodze go zawiodła, ale obiecał sobie, że więcej nie da jej po temu okazji. Spośród wszystkich swoich zdobyczy akurat ją cenił najwyżej.

Caroline przyjechała pożegnać się z rodzicami przed wylotem do Włoch. Rozmawiając z nimi, raz po raz rzucała ukradkowe spojrzenia na swojego wyjątkowego męża. Tęskniła za jego obecnością bardziej, niż chciała się do tego przyznać sama przed sobą. Był zbyt przystojny i seksowny, by móc zachować przy nim spokój umysłu. Noc w noc leżała z szeroko otwartymi oczyma, daremnie próbując zasnąć. Zastanawiała się, czy on też nie śpi, czy czuje ból rozstania tak jak ona. Obawiała się, że ponętna Agnese i jej liczne odpowiedniczki będą krążyć wokół niego jak sępy, gotowe zaoferować mu seksualne pocieszenie. Bała się, że Valente nie oprze się pokusie. Spojrzał na nią z ukosa zza gęstych rzęs oczyma barwy karmelu i wtedy zapragnęła znaleźć się w jego muskularnych ramionach. Zaszło jej w gardle, a serce przyspieszyło rytm.

- Aż trudno uwierzyć, jak zmieniło się nastawienie moich rodziców do ciebie. Dzięki temu życie stało się prostsze - powiedziała Caroline, kręcąc głową nad zmiennymi kolejami losu. Pięć lat temu nikt nie ośmieliłby się pomyśleć, że Valente Lorenzatto tak zyska w ich oczach.

- Powiniennem był przyjechać tutaj, kiedy Joe miał operację - przyznał Valente z żalem w głosie. - Źle zrobiłem, że się nie stawilem.

- Rodzice wiedzą, że jesteś bardzo zajęty. Masz przecież tyle obowiązków... Mimo tylu przykrych zaszłości i nieporozumień okazałeś się wielkoduszny i hojny. Za to są ci bardzo wdzięczni. Ja także - powiedziała z prostotą.

- Ale interesy nigdy nie powinny przesłaniać rodziny. Powiedział mi to kiedyś dziadek Ettore. Powiniennem był uważniej go słuchać. Był tak zajęty zarabianiem pieniędzy, chcąc dorównać standardem życia swoim przodkom, że nie miał kontaktu z włą-

snymi dziećmi. Były dla niego niczym obcy ludzie. Dawał im pieniądze i niewiele więcej. A one oczywiście to wykorzystywały. Kiedy go poznałem, jego potomkowie krążyli wokół niego jak sępy. Żyli na jego koszt i traktowali go jak dojną krowę. - Valente skrzywił się z obrzydzeniem. - Dlatego zgodziłem się zająć fortuną Barbierich i wyprowadzić ją na bezpieczniejsze wody.

- Troszczyłeś się o dziadka. Cieszę się, że miałeś z nim bliską więź - powiedziała serdecznie Caroline.

- Był honorowym człowiekiem, a kiedyś sprytnym biznesmenem, ale kiedy go poznałem, tracił wzrok i był zdany na łaskę swojej rodziny. Potrzebował mojej pomocy, ponieważ zorientował się, że nie może ufać bliskim.

- Podczas naszego ślubu zauważyłam, że raczej nie masz bliskich i ciepłych kontaktów z kuzynami - zauważyła Caroline.

- Nie mam. Uratowałem fortunę dziadka, a on zmienił testament i wszystko zapisał mnie. Możesz sobie wyobrazić, jak zareagowała reszta rodziny.

- Miałeś swoje prawa jako syn najstarszego dziecka twojego dziadka - skwitowała.

- Tytuł hrabiego przeszedł na mojego kuzyna, który w przeciwieństwie do mnie jest prawowitym synem, urodzonym w związku małżeńskim. Ale rezydencji i pieniędzy dziadek mu odmówił. Ettore nie ufał ani jemu, ani jego siostrze. Nie wierzył, że przeznaczą pieniądze na renowację rodzinnych posiadłości. Muszę przyznać, że sam wydałem na to o wiele więcej, niż pierwotnie zakładałem.

- Jak się teraz żyje twoim krewnym? - chciała wiedzieć.

- Niektórych wkręciłem do biznesu, paru zatrudniam, kilku starszym członkom rodziny wypłacam pieniądze na życie. Nie utrzymujemy raczej kontaktów towarzyskich. W ich oczach nadal jestem chłopcem z ubogiej dzielnicy, który przyniósł wstyd rodzinie, wyciągając na światło dzienne przestępstwo swojego ojca. Tylko Ettore akceptował mnie takim, jakim jestem.

Szli do limuzyny żwirowym podjazdem wysadzonym drzewami. Współpracownicy Valentego przekazywali sobie dokumenty. Podmuch wiatru porwał kartkę z jednej z teczek. Wzbiła się w górę i wylądowała u stóp Caroline, która schyliła się po nią. Znajome logo przykuło jej wzrok. Bomark Logistics. To była część jakiegoś raportu. Bez słowa

podawała ją jednemu z mężczyzn. Co mogło łączyć Valentego z konkurencyjną firmą transportową, która wypchnęła Hales Transport z rynku? Planował ją kupić? Przejąć? A może badał sytuację konkurencji, szukając jej słabych punktów?

Były już dwa ważne tematy, które pragnęła omówić z Valentem bardziej szczegółowo: Agnese Brunetti i Bomark Logistics. Jej ukochany mąż miał skrytą wenecką duszę. Bronił swojej prywatności jak lew. Wsiadając do limuzyny, nabrała powietrza, chcąc zadać mu pierwsze pytanie, ale Valente rozmawiał już przez telefon. Uznała, że łatwiej będzie porozmawiać o tych sprawach w samolocie, kiedy nikt i nic im nie przeszkodzi.

Valente miał jednak zupełnie inny pomysł na spędzenie czasu w powietrzu...

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tuż po starcie odrzutowca Valente wziął Caroline w ramiona. Jego ciemne oczy rzuciły gorące złotawe błyski.

- Tęskniłem za tobą, *bella mia* - wyszeptał z bezbrzeżną czułością.

Serce zabiło jej żywiej, ale odrzuciła głowę do tyłu, jakby zaskoczyły ją te słowa. W jej jasnoszarych oczach lśniły chochliki.

- Przez telefon nie powiedziałeś mi tego ani razu - oznajmiła z udawanym wyrzutem.

Valente wybuchnął serdecznym śmiechem, a potem wzruszył ramionami na znak lekceważenia dla takich smętnych tekstów.

- Nie należę do mężczyzn, którzy mówią kobietom wszystko, co one chcą usłyszeć - odrzekł dumnie.

Caroline natychmiast spoważniała. Poczula ukłucie żalu.

- Kiedyś byłeś o wiele bardziej uczuciowy, otwarty i czuły - stwierdziła smutno.

Jego rozbawienie uleciało w jednej chwili.

- Być może, ale stwardniałem właśnie przez takie kobiety jak ty. Nie możesz się skarżyć, to twoje dzieło - odparł szorstko.

Pochylił się ku jej szyi, by wargami pieścić delikatną skórę. Potem chwycił ją lekko zębami, aż Caroline poczuła prąd przepływający do koniuszków najcieńszych nerwów.

- Jesteś niesprawiedliwy - zaprotestowała.

Była rozdrażniona i zmęczona tym ciągłym wypominaniem historii sprzed pięciu lat. On także podjął wówczas decyzje, które miały poważne konsekwencje. Wyjechał z kraju i stał się nieosiągalny. Jedyne, co mogła zrobić, to pisać do niego listy.

- A od kiedy to życie jest sprawiedliwe? - Pragnąc zakończyć tę niewygodną konwersację, pocałował ją z pasją tłumioną przez ostatnie dwa tygodnie. Od jej wyjazdu nie przespał spokojnie ani jednej nocy.

W jego objęciach Caroline zapomniała o wrogości. Położył jej dłonie na pośladkach, uniósł ją i przygarnął mocniej. Wyczuła jego podniecenie.

- Pragnę cię aż do bólu - mruknął jej do ucha.

Wiedziała, że w tej chwili nie ma szans na rozmowę. Natychmiast skarciła się w duchu za tę myśl. Jeszcze kilka tygodni temu nie okazywał tak wyraźnie swojego pożądania, a ona odwracała się od niego, ciągle zraniona po smutnych doświadczeniach z Matthew i przekonana, że straciła szansę na odkrycie własnej seksualności i poznanie zmysłowych rozkoszy.

Teraz chichotała z rozbawieniem, gdy Valente ciągnął ją do części sypialnej samolotu, jedyne miejsce, które gwarantowało im prywatność. Nigdy nie czuła się tak pożądana, a jednak bliżej jej było nastrojem do zakochanej nastolatki niż dorosłej kobiety. Ochocho zrzucili ubrania i zsynchronizowali rytm swoich ciał w poszukiwaniu pierwotnej ekstatycznej przyjemności. Kiedy przeżywała najwyższą rozkosz, Valente tłumił jej krzyk pocałunkami. Serce jej topniało ze szczęścia, na które tak długo czekała.

Nie chciała wracać do rzeczywistości po tak ekstatycznym zespoleniu zmysłów i ciał. Nie mogła uwierzyć, że ostatnie dwa tygodnie spędziła z dala od Valentego. W jego ramionach odnalazła nadzwyczajny spokój. Wciągała w płuca zapach jego opalanej skóry, czuła jego ciało tuż przy swoim, czerpała z niego siłę. Cieszyła się dzieloną z nim intymnością, która pięć lat temu wydawała się stracona bezpowrotnie.

- Za niecałą godzinę lądujemy, *belezza mia*. Niestety, trzeba się ruszyć - oznajmił Valente i z westchnieniem odsunął się od niej.

Chciała wierzyć, że to westchnienie oznacza niechęć do wypuszczenia jej z objęć.

Zanim wstał, Caroline postanowiła jednak zaspokoić swoją ciekawość.

- Są dwie sprawy, o które chciałam cię zapytać - zaczęła z lekkim wahaniem.

- Agnese? - Valente niepokojąco szybko wyczuł jej intencje. Uniósł głowę, odgar-
nał opadające mu na czoło kosmyki i rzucił jej szybkie baczne spojrzenie. - Pozwól, że
uprzedzę twoje pytanie: tak, byliśmy kochankami. Ale wszystko już między nami skoń-
czone, bo teraz mam ciebie.

- Więc po co do ciebie przyszła?

- Miała chyba nadzieję, że po miesiącu małżeństwa zmienię zdanie i znów zapu-
kam do jej drzwi. Agnese ma bardzo wysokie mniemanie o sobie i swojej *ars amandi*.

- Och... - Jego szczerość ją zaskoczyła. Przyparty do muru Matthew kręcił i kłamał w żywe oczy, aż w końcu trudno jej było wierzyć mu na słowo. - Kochałeś ją?

- To był raczej obopólnie korzystny układ niż romans, tak bym to ujął. Płaciłem jej rachunki, a ona... Chyba nie chcesz, żebym się wdawał w szczegóły? - upewnił się na wszelki wypadek.

Caroline była zszokowana i nie umiała tego ukryć.

- To takie beznamiętne! - stwierdziła.

- Obojgu nam pasował ten układ. Nie każdy chce emocjonalnych więzi i obietnic, Caroline - zauważył z sardonicznym uśmiechem.

- Mam jeszcze jedno pytanie. Jakie masz powiązania z firmą Bomark Logistics? - ciągnęła półgłosem, ignorując ten bolesny dla niej przytyk.

Valente zastygł w bezruchu jak człowiek, który dowiaduje się nagle, że ktoś podrzucił mu do kieszeni bombę zegarową.

- Porozmawiamy o tym szczegółowo po powrocie do domu - odparł z kamiennym spokojem.

Caroline nie wiedziała, co o tym myśleć. Szczegółowo? Co on właściwie sugerował? Z tych dwóch spraw temat Agnese Brunetti wydał jej się trudniejszy i bardziej kontrowersyjny. Spodziewała się nawet, że Valente odmówi jasnej odpowiedzi. Jego relacje z Agnese przed ślubem nie powinny jej interesować. Pytanie o Bomark Logistics zadała z czystej ciekawości. Dlaczego nie chciał udzielić jej odpowiedzi od razu?

W drodze powrotnej do Palazzo Barbieri Valente był milczący i pośpny. Patrząc na jego zaciśnięte szczęki i usta, czuła narastające napięcie. Jego nastrój udzielił się także jej. Przeżyła wielkie rozczarowanie, gdy Koko wybiegła ją powitać i po zainkasowaniu solidnej porcji pieszczot zwróciła się do Valentego po to samo.

- Jakim cudem ją do siebie przekonałeś? - zawołała Caroline, zdumiona widokiem swojej ulubienicy ocierającej się o nogawki spodni Valentego i mruczącej głośno niczym silnik parowy.

- Ty wyjechałaś, więc nie miałem konkurencji, a ona czuła się samotna - wyjaśnił. Podniósł kotkę i pogłaskał z wdzięczności za tak radosne powitanie.

W olbrzymim salonie, spowitym purpurową poświatą zachodzącego słońca wpadającego do środka przez otwarte drzwi balkonowe, Valente w końcu nawiązał do tematu, który poruszyła w samolocie.

- Skąd wiesz o moich powiązaniach z Bomark Logistics?

Caroline opisała mu sytuację sprzed ośrodka dla rekonwalescentów. Okazało się, że Valente nawet nie zauważył, gdy podniosła dokument, który wiatr rzucił do jej stóp.

- Więc nic nie wiesz - stwierdził z posępną miną. - Mógłbym skłamać. Kusi mnie, żeby to zrobić, bo prawda ci się nie spodoba. Ale w kwestiach biznesowych nie zrobiłem niczego złego. Na świecie trwa bezpardonowa walka o przetrwanie.

- O czym ty mówisz? - Caroline była coraz bardziej zdezorientowana. - Kupiłeś Bomark Logistics? Myślałeś, że się zdenerwuję, bo ta firma wygryzła Hales Transport z rynku? Nie jestem aż tak głupia, żeby...

Valente taksował ją uważnym wzrokiem.

- Założyłem Bomark Logistics trzy lata temu. Firma powstała od zera. Jestem jej właścicielem. I odpowiadam za każdy ruch, jaki wykonała od tamtego czasu.

Twarz Caroline poszarzała.

- To niemożliwe. Ty jesteś właścicielem? Od początku? Ale dlaczego... trzy lata temu?

- Otworzyłem kolejną firmę transportową, żeby konkurować z Hales Transport. To za moją sprawą Sweetman, wasz dyrektor, otrzymał propozycję objęcia posady w Londynie - wyjaśnił Valente z ociąganiem.

- Ale dlaczego? - powtórzyła Caroline. - Chciałeś doprowadzić do upadku firmę mojej rodziny?

Valente skinął głową w milczeniu. Nie spodziewał się, że Caroline zareaguje aż tak nerwowo. Przebiegła kobieta zrozumiałaby sens jego działania bez zadawania pytań: Caroline najwyraźniej nie pojmowała tego, co chciał jej powiedzieć.

- Nic nie rozumiem... Wiem, że byłeś zły i rozczarowany, kiedy pięć lat temu nie pojawiłam się w kościele. Ale po co miałbyś robić sobie aż tyle zachodu, żeby wziąć na celownik małą rodzinną firmę? - dociekała.

- Za to, co się stało, winięm nie tylko ciebie, ale także twoją rodzinę.

- Przecież wiedziałeś, że nie mogę przyjechać do kościoła. Wiedziałeś, jak bardzo mi przykro, że wiadomość nie dotarła do ciebie na czas. - Caroline gorączkowała się coraz bardziej. - Wiem, że moi rodzice zachowywali się względem ciebie okropnie i podle cię potraktowali, ale nie wierzę, żebyśmy zrobili coś aż tak strasznego, co skłoniło cię do tak bezwzględnej zemsty.

Valente zachodził w głowę, czemu Caroline tak żarliwie przekonuje go, że nie mogła zjawić się w kościele. Irytowało go, że nie zna powodów jej nieobecności. Na pewno podała je w tamtym liście.

Nie chciał o nim mówić. Co do wiadomości, to słyszał o niej pierwszy raz. Nie wierzył, że przesłała mu jakąkolwiek wiadomość. Jej rodzina chciała się go pozbyć za wszelką cenę. Sytuacja, w której został wystrychnięty na dudka w dniu ślubu, była świetną metodą. Po takim poniżeniu nikt nie chciałby szukać dalszego kontaktu z niedoszłą żoną i jej rodziną.

- Chciałem, żebyście zapłacili za to, co mi zrobiliście - wyznał ponuro.

Dziewczyna roześmiała się gorzko.

- Nie sądzisz, że trzy i pół roku małżeństwa z Matthew Baileyem to wystarczająca kara?

Valente przybrał powściągliwą minę.

- Wtedy usłyszałem, że cieszysz się szczęśliwym życiem u boku swojego ukochanego z dzieciństwa. Dopiero po śmierci Bailey'a dowiedziałem się, że wasze małżeństwo nie było wcale takie idealne.

- Matthew i ja nigdy nie byliśmy ukochanymi z dzieciństwa! - zaprotestowała żywo Caroline. - Skąd ci to przyszło do głowy? Byliśmy przyjaciółmi, zwyczajnymi przyjaciółmi. Ceniłam go, liczyłam się z jego zdaniem. Przyznaję, że dałam się zwieść pozorom. Przejrzałam go dopiero po ślubie. Nigdy nie mieliśmy romansu, nie było między nami żadnego romantyzmu. Ani przed ślubem, ani po ślubie. Wysłałam za niego z zupełnie innych powodów.

- O „ukochanym z dzieciństwa” usłyszałem od twojego ojca. Joe przyszedł do mnie tydzień przed ślubem i oskarżył mnie, że wszedłem między ciebie i Matthew i marnuję ci życie. Powiedział, że tak naprawdę kochasz Matthew. Próbował mnie przekupić.

Caroline była wstrząśnięta.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, co zrobił tata? Nie miałam o tym pojęcia.

- Wtedy tyle się działo, że żyłaś nerwami. Nie chciałem ci jeszcze dokładać powodów do zdenerwowania. Poza tym byłem przekonany, że mnie kochasz - przyznał z lekkim grymasem ust.

- Kochałam cię. Kochałam! - wyrzuciła z siebie łamiącym się głosem. - Nigdy nie odpowiedziałeś na moje listy. Nigdy nie zadzwoniłeś. Emocje i wybaczenie to nie twoja działka. Fakt, że dopiero po prawie dwóch miesiącach od ponownego spotkania rozmawiamy o przeszłości, mówi sam za siebie. Wyrzuciłeś mnie ze swojego życia jak bezużyteczny przedmiot! - Caroline podniosła głos.

Twarz Valentego pociemniała z oburzenia.

- A czego się spodziewałaś po tym, jak wystawiłaś mnie do wiatru? Mało który mężczyzna wybaczyłby taką obrazę - powiedział z całą mocą.

- Za mało mnie kochałeś, Valente. Kiedy dziś mi mówisz, że nigdy więcej nie będziesz czuł do mnie tego, co kiedyś, to niezbyt wiele tracę, prawda? Mężczyzna, który kochałby mnie naprawdę, schowałby swoją urażoną dumę do kieszeni i przyszedłby wszystko wyjaśnić. Ty tego nie zrobiłeś. Miałeś w sobie rzekomo tyle miłości... a tak naprawdę zwyczajnie mnie opuściłeś - powiedziała udreńczonym głosem.

Valente wyrzucił w górę ramiona w geście mówiącym, że nie akceptuje jej punktu widzenia.

- Ja... ciebie... opuściłem? - powtórzył, artykułując wyraźnie każde słowo.

- Byłam załamana. Myślałam, że nie mam po co żyć. Był przy mnie Matthew, współczujący i troskliwy przyjaciel w trudnych chwilach. Moi rodzice już dawno napomykali, że bardzo ucieszyłby ich mój ślub z Matthew. Oświadczył mi się. Ciebie nie było. Uległam presji. Małżeństwo przyjaciół, tak Matt to nazywał. Ale nawet nasza przyjaźń nie przetrwała. Byłam idiotką. Dałam się złapać w pułapkę. Gdybym nie była tak nieszczęśliwa, nie postąpiłabym tak głupio! - mówiła z oczyma lśniącymi od łez, wspominając tamten trudny czas.

Jej słowa w najmniejszym stopniu nie pokrywały się z jego ówczesnymi przypuszczeniami.

- Myślałem, że posłużyłaś się mną, żeby wzbudzić zazdrość w Matthew. I że w końcu zrozumiałaś, że jego kochasz bardziej niż mnie.

Trzęsącą się ręką Caroline otarła łzy.

- Może gdybyś miał w sobie więcej uczucia, zadałbyś sobie trud i sam odkrył prawdę. Czemu w ogóle o tym dzisiaj rozmawiamy? - Jej jasnoszare oczy pociemniały.

Przygryzła wargę, by zapanować nad wzbierającym szlochem.

- Powinniśmy byli o tym porozmawiać już dawno temu - wycedził Valente przez ściśnięte gardło.

Zabolały go jej oskarżenia. Był wściekły. Najwyższym wysiłkiem woli panował nad sobą. Nie chciał zdradzać swoich uczuć.

- To wszystko już nie ma znaczenia. Teraz bardziej mnie interesuje twoja firma Bomark Logistics - przyznała Caroline, sprowadzając rozmowę na poprzednie tory. - To, że trzy lata po naszym rozstaniu zaplanowałaś zemstę za wszelką cenę, budzi moje przerażenie. Po raz kolejny przekonuję się o smutnym fakcie, że zupełnie nie znam się na ludziach.

- Nie jestem taki jak ty, *bella mia*. Kiedy ktoś mnie uderzy, nie nadstawiam drugiego policzka. I nigdy nie będę nadstawiał - oznajmił dobitnie.

W oczach Caroline zaśniły rzadkie u niej wojownicze błyski. Wyprostowała się, choć każdy napięty mięsień sprawiał jej ból.

- Ale założenie firmy transportowej tylko po to, żeby zniszczyć źródło utrzymania mojej rodziny, jest niewybaczalne.

- Chciałem ciebie. Moim jedynym celem było znalezienie jakiegoś dojścia do ciebie.

- Ale wtedy Matthew jeszcze żył, a ja byłem jego żoną! - zawołała oburzona.

Valente przymknął oczy. Nie czuł skruchy. Zawsze otwarcie mówił, co myśli. I nie bał się tego.

- Dla mnie nie miało znaczenia, czy byłaś mężatką, czy nie.

Caroline spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma, po czym odwróciła się i podeszła do okna, z którego rozciągał się malowniczy widok na dachy weneckich pałaców i niebo. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, pochłonięta smutnymi my-

ślami. Valente był agresywny, miał skłonności do destrukcji, nie wstydził się podłych metod, jakie stosował. Jednym słowem, był bezwzględny. A jednak chronił ją przed tą stroną swojej natury. Pokazał jej ludzką, łagodniejszą twarz. Czy właśnie tego mężczyznę kochała?

- Warto zapłacić każdą cenę, tak mówiłeś? - przypomniała mu oskarżycielskim tonem. - Jak sądzisz, co oznaczał dla mojego ojca powolny upadek Hales Transport i utrata kontraktów? To złamało mu serce. Hales Transport to była firma jego ojca. Było mu wstyd, że nie zdołał utrzymać spuścizny po ojcu. Nie zważałeś na to, że krzywdzisz moją rodzinę, bo ciągle byłeś przekonany, że cię zawiodłam.

Słuchał jej z zaciętym wyrazem twarzy niczym macho, który prowokuje do ataku, po czym sprawdza, ile jest w stanie znieść.

- Bo tak było. Zawiodłaś mnie - odparował.

- Niby jak cię zawiodłam? Bo zachorowałam? Bo leżałam w szpitalu w noc poprzedzającą nasz ślub? Wytlumacz mi, gdzie w tym jest moja wina? - mówiła roztrzęsiona. - Los zdecydował. Późniejszy namysł, wątpliwości, obawy, które mnie dopadły na drugi dzień rano, gdy czekałeś na mnie w kościele, to była moja wina, przyznaję. Ale nie mogłam wstać z łóżka, wyjść ze szpitala i załatwić wszystkiego sama.

- Nie wiem, o czym mówisz - mruknął. Wzmianka o szpitalu przełamała jego rezerwę i wzmogła frustrację. - Już ci powiedziałem, że nie czytałem twoich listów.

- Ani jednego? - spytała niepewnie.

Po chwili odwróciła się i zasłoniła dłonią drżące usta. Dalsze słowa nie miały sensu. Na papier przelała całe serce, wszystkie swoje uczucia; jak się okazuje na próżno, skoro on ich nawet nie przeczytał.

Caroline wzięła kilka głębokich oddechów, by uspokoić roztrzęsione nerwy. Potem utkwiała wzrok w Valentem. W jej oczach wyczytał potępienie.

- Nie jesteś mężczyzną, za jakiego cię uważałam pięć lat temu. Postanowiłeś zniszczyć moją rodzinę, a wybaczyłeś rodzinie człowieka, który zgwałcił twoją matkę... Nie rozumiem tego. Dlaczego nie mogłeś wybaczyć moim rodzicom albo mnie?

Valente siłą woli powstrzymał się przed wybuchem i potokiem niecenzuralnych słów. Patrzył, jak Caroline odwraca się na pięcie i rusza ku drzwiom.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

- Chcę się położyć. Boję się, że znów dostanę ataku migreny - przyznała niechętnie. Pomasowała sobie skronie. Ból powoli ścisnął jej głowę żelazną obręczą. - A potem leczę do Anglii najszybciej, jak to będzie możliwe, ponieważ się ciebie boję - dodała głucho.

- Dlaczego się mnie boisz? - zapytał gniewnie, rozdrażniony jej słowami.

- Oznajmiasz mi, że przez lata knułeś przeciwko mnie i mojej rodzinie, a teraz nie rozumiesz, czemu się ciebie boję? Uważasz, że to normalne zachowanie? - spytała rwącym się z przejęcia głosem.

Caroline leżała w łóżku oniemiała z szoku i wrażenia. Jak Valente mógł być tak okrutny, by z rozmysłem zniszczyć firmę będącą źródłem utrzymania jej rodziny? Dobrze, jej rodzice nie byli jej biologicznymi rodzicami, ale starzeli się i chorowali. Czy Valente nie miał sumienia? Można zapytać, ilu ludzi okazało mu miłość? Na pewno kochała go matka, ale umarła, kiedy miał osiemnaście lat. Przed śmiercią wyjawiała mu, że jest owocem gwałtu. Valente znał tylko brutalną i bolesną stronę pożądania i miłości. Nadal wierzył, że pięć lat temu Caroline z rozmysłem wystawiła go do wiatru. Jak można tak kurczowo trzymać się swoich błędnych przekonań? Jak na ironię, teraz rozumiała go lepiej. Gardził jej terazniejszą miłością, ponieważ nie wierzył, że w przeszłości go kochała. Kobiety w rodzaju Agnese Brunetti kochały jego pieniądze, kochały jego piękne i mocne ciało, nie żywiły zaś uczucia do mężczyzny, który krył się za tą fasadą.

A fasada była isticie imponująca, rozglądając się po wspaniałych wnętrzach pałacu, Caroline nie mogła temu zaprzeczyć. Chłopiec zrodzony z gwałtu odniósł niebywały sukces materialny, ale wcześniej padł ofiarą uprzedzeń i odrzucenia. Z bólem musiała przyznać, że w jego burzliwym życiu ona wraz z rodzicami jest na liście tych, którzy zawinili wobec niego odrzuceniem. A jednak go kochała. I to bardzo. Jakikolwiek uczucia Valente żywił do niej, były one na tyle silne i trwałe, że kazały mu wrócić do niej po pięciu trudnych latach. Przez długi czas pracował nad tym, by zapewnić sobie pozycję materialną i wpływy, które gwarantowałyby mu, że kiedy znów się zjawi w jej życiu, nikt

już nie będzie nim gardził. Rozczarowałby się trochę, gdyby wiedział, że wystarczające okazałoby się zburzenie muru niedostępności. Wtedy wróciłaby do niego z własnej woli.

Valente niecierpliwie przeglądał zawartość sejfu w bibliotece. Był wściekły, ledwo nad sobą panował. W końcu znalazł to, czego szukał: gruby list w zniszczonej kopercie. Dlaczego go zatrzymał, skoro nie chciał poznać jego treści? Wszystkie, które przyszły potem, wyrzucił bez przeczytania. Teraz miał się dowiedzieć, o czym mówiła Caroline. Na pewno wymyśliła jakieś misterne kłamstwa, by lepiej wypaść w jego oczach.

Usiadł z kieliszkiem najwyborniejszego wina z piwnic Villi Barbieri i rozdarł kopertę. Czuł narastające napięcie. Caroline zapisała osiem stron papieru listowego. Rozprostował pierwszą kartkę. Już sam nagłówek przypomniawszy mu tamtą dziewczynę sprzed pięciu lat. „Najdroższy, najukochańszy, najmilszy Valente...”

Te słowa poruszyły w nim czułą strunę. Nabrał większej ochoty na czytanie niż w chwili, gdy sięgał po kopertę. Caroline informowała go, że w noc poprzedzającą ślub wylądowała w szpitalu z pękniętym wyrostkiem robaczkowym. Valente zmarł. Przypomniawszy sobie niewielką bliznę w dole brzucha. Chciał o nią zapytać, ale bliskość Caroline sprawiła, że wyleciało mu to z głowy. Poczł przyływ adrenaliny. Czytał coraz szybciej. Kiedy czekał na nią w kościele, ona leżała na stole operacyjnym i walczyła o życie. Poprosiła ojca, by zawiadomił Valentego i przywiózł go do niej. Tymczasem Joe Hales scedował to na Matthew, który z kolei odmówił wyjścia ze szpitala, póki zagrożenie życia Caroline nie minie.

Valente zerwał się na równe nogi. Chciał natychmiast odszukać Caroline. Nie wiedział, co jej powie, był jednak pewien, że musi z nią porozmawiać tak, jak jeszcze nigdy z nią nie rozmawiał. Stał przed nie lada wyzwaniem. Nie wiedział, czy mu sprosta.

Przed wejściem na górę zajrzał do pracowni. Koty ze szkła błyszcząły w promieniach światła wpadającego przez okno. Wzruszyło go, że zatrzymała prezent od niego.

W sypialni skrzypnęła cicho deska podłogowa. Caroline uniosła ciężkie powieki. W nogach łóżka stał Valente. Wyglądał jak śmierć, tyle że w eleganckim garniturze.

- Masz migrenę? - spytał niepewnie.

- Nie. Myślę, że głowa mnie rozboleła z nerwów.

- Nigdy nie przeczytałem listu, który napisałaś do mnie pięć lat temu - rzucił szorstko bez owijania w bawełnę.

- Napisałam sześć, o ile nie więcej - odparła Caroline.

- Wyrzuciłem je od razu, bez czytania. Ale pierwszy zachowałem.

Zmarszczyła brwi, przyglądając mu się z uwagą.

- Po co go trzymałeś, skoro nie zamierzałeś przeczytać?

- Zachowywałem się jak nałogowiec opierający się pokusie - przyznał. - Dwa miesiące temu byłem dumny, że potrafię się powstrzymać przed otwarciem tego listu. Nie chciałem czytać twoich wyjaśnień w obawie, że zmięknię. Moja duma nie pozwalała mi ryzykować.

Świadoma, że Valente musi być w dziwnym nastroju, skoro o tym mówi, Caroline powoli podniosła się z pozycji leżącej i usiadła, wsparta o poduszkę.

- Opierałeś się pokusie, jakby mój list był niebezpiecznym narkotykiem? - spytała niepewna, czy dobrze usłyszała jego słowa.

Przez myśl jej nie przeszło, że Valente mógł doświadczać takich donkiszotowskich myśli i nastrojów.

- Przeczytałem go dopiero teraz, przed chwilą. Jestem wstrząśnięty - wyrzucił z siebie nerwowo. Wyraz napięcia na jego twarzy mówił jej wszystko. - Byłaś chora. Nie było mnie przy tobie, gdy tak bardzo mnie potrzebowałaś.

- Nikt ci przecież nie powiedział, że cię potrzebuję i że jestem chora.

- Powinienem był wziąć pod uwagę taką ewentualność - przyznał.

- Tamtego wieczoru próbowałam się do ciebie dodzwonić - wyszeptała, mnąc brzeg pościeli.

Valente popatrzył na nią oczyma pełnymi żalu.

- Wyrzuciłem swój telefon komórkowy z mostu do rzeki. Nie chciałem się złamać i do ciebie zadzwonić. Chciałem być silny.

- Tego ci odmówić nie można - przyznała Caroline. - Czemu nie przyszło ci do głowy, że stało się coś złego?

Pociemniał na twarzy.

- Wierzyłem, że mnie kochasz, ale wiedziałem też o twoich wątpliwościach i braku pewności siebie. Chyba zbyt wiele od ciebie oczekiwałem.

Jej serce wezbrało smutkiem.

- Opuszczenie rodziny i wszystkiego, co znałam, przeprowadzka do obcego kraju to były wielkie wyzwania, ale zrobiłabym to, żeby być z tobą. Tamtego ranka w szpitalu zadawałam sobie pytanie, czy moja choroba to znak. Zbyt długo zwlekałam z poproszeniem taty o przekazanie ci informacji. Gdybyś wrócił, szukał mnie, próbował się skontaktować albo nawet porozmawiać...

Valente skrzywił się.

- Jestem zawziętym człowiekiem. I bardzo dumnym. Kiedy miałem kłopoty, z tego czerpałem siłę. Powinienem bardziej w ciebie wierzyć. To nas rozdzieliło. Mój brak wiary. Byłem przekonany, że mnie oszukałaś; że rodzina przekonała cię, żebyś mnie zostawiła w kościele. Winę cię za to wszystko.

Caroline chciało się płakać. Jak mogła oczekiwać od niego wiary w takich okolicznościach, skoro tylu ludzi go skrzywdziło?

- Byłam przekonana, że dostałeś moją wiadomość przed wyjściem do kościoła. Matthew skłamał. Powiedział mi prawdę dopiero po naszym ślubie. Kiedyś się na mnie wściekł. Chciał mnie zranić i przyznał, że nawet cię wtedy nie szukał.

- Za późno się dowiedziałaś, że Matthew ma swoją ciemną stronę - zauważył.

- A ty takiej nie masz? - chciała wiedzieć.

- Owszem, zawsze miałem w sobie bezwzględność. Bez niej nie przetrwałbym w moim świecie ani nie rozwinął w nim skrzydeł. Jedyłą osobą, której pokazałem się bez tej broni, byłaś ty.

Caroline nie mogła powstrzymać łez. Płynęły po jej policzkach gorącym strumieniem. Valente przysiadł na skraju łóżka i wyciągnął do niej rękę. Odepchnęła ją z impetem.

- Nie dotykaj mnie! Dlaczego nie przeczytałeś chociaż jednego z moich listów? Jak mogłeś być tak tępy, żeby uznać tę sytuację za test na twardość? - wykrztusiła Caroline, zanosząc się od płaczu.

Popatrzył na nią pełnym napięcia wzrokiem.

- Odezwał się we mnie macho, którego tak nie lubisz. Przez ciebie stałem się bezbronny i wrażliwy. Wcale mi się to nie podobało. Tym razem chciałem, żeby wszystko wyglądało inaczej.

- I udało ci się - potwierdziła Caroline. Wyślizgnęła się z pościeli po drugiej stronie łóżka i wygładziła pogniecioną lnianą sukienkę. - Szantażem zaciągnąłeś mnie do swojej sypialni.

- A ty szantażem zmusiłaś mnie do małżeństwa - odparował z rozbawieniem Valente. - Kiedy się zorientowałaś, że chcę cię mieć za wszelką cenę, zaoferowałaś najwyższą cenę, jaka ci przyszła do głowy.

Caroline poruszyła się niespokojnie.

- Ja widziałam to inaczej. Wiedziałam, że kiedy się zorientujesz, że jestem oziębła, rzucisz mnie i zapomnisz o wszystkich obietnicach.

Valente uniósł brew i uśmiechnął się ironicznie.

- Czy to nie dziwne, że zostałem przy tobie, zamiast unieważnić małżeństwo, ponieważ nie zostało skonsumowane? Jak myślisz, dlaczego tak postąpiłem? - zapytał.

Caroline zrobiła niepewną minę.

- Bo to wstydlivy sposób na zakończenie małżeństwa?

- Mam taką reputację, że żadnego wstydu by nie było. Chciałem czegoś więcej niż twoje ciało. Nawet jeśli wtedy nie byłem w stanie sam się do tego przyznać.

- Byłeś bardzo przekonujący, wmawiając mi, że chcesz tylko seksu - odparła niewzruszona.

Valente wstał. Na jego szczupłej przystojnej twarzy malowało się skupienie. Oczy mu błyszczały. Podeszedł do niej.

- Nie czujesz żadnych fluidów, kiedy mężczyzna cię kocha? Wiesz, że przez parę lat układałem plan odzyskania ciebie. Wiesz, że ożeniłem się z tobą, chociaż nie było to częścią mojego planu. Wiesz, że zostałem z tobą, chociaż nie od razu nam wyszło w sypialni. Naprawdę nie widzisz, co się za tym kryje?

- Próbujesz mi powiedzieć, że mnie kochasz, chociaż odrzuciłeś moją miłość? - Caroline nie posiadała się ze zdumienia.

- Grałem macho, ale znów zdjąłem pancerz. Dzisiaj wieczorem w końcu zrozumiałem, że Kocham cię najbardziej na świecie. Bardziej niż... biznes. Wiem, że to mało romantyczne porównanie, ale biznes ma dla mnie wielkie znaczenie - wyznał Valente.

- A ja jestem jeszcze ważniejsza? - Caroline brakło tchu, zupełnie jakby za szybko wbiegała na szczyt wzgórza.

- Jesteś centrum mojego świata, *cara mia*. Bez ciebie moje życie nie miałoby sensu.

Valente objął łagodnie jej drobną postać. Stała nieruchomo, z szeroko otwartymi oczyma. Istne uosobienie niezdecydowania.

- Pielęgnowałem wspomnienia o tobie. I niestety, pielęgnowałem też urazę. Bardzo cię Kocham. Nie mogłem o tobie zapomnieć ani nikim cię zastąpić - mówił łagodnym ściszonego głosem.

Serce Caroline wykonywało salta z radości. Bała się, że wyskoczy jej z piersi.

- Ty już wiesz, co do ciebie czuję - oznajmiła.

- Nie wierzyłem, kiedy powiedziałaś, że mnie Kochasz. Nie wierzyłem ani przez sekundę. Myślałem, że chcesz mnie zmiękczyć i urobić - przyznał skruszony.

Kiedy pochylił się i zbliżył swoje zmysłowe wargi do jej ust, Caroline cofnęła się gwałtownie.

- Kocham cię, ale to nie znaczy, że wybaczę ci manipulację z Bomark Logistics i szantaż, żeby mnie zaciągnąć do łóżka.

- Nawet jeśli obiecuję, że już nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię? - spytał.

- Łatwo powiedzieć, skoro już wiesz, że nie musisz używać szantażu w sypialni - odparła Caroline wprost.

- W dowód moich dobrych intencji proponuję tymczasowy celibat - oznajmił jedwabistym głosem Valente.

Bardzo jej się nie spodobała ta perspektywa. Dopiero złośliwe chochliki w oczach Valentego powiedziały jej, że żartował. Omal go nie trzepnęła za ten dowcip.

- Masz teraz za duże wzięcie, żeby aż tak się poświęcać - powiedziała oficjalnym tonem.

- To byłaby zbyt wielka ofiara - przyznał Valente.

Wyciągnął do niej rękę. Po chwili była już w jego objęciach.

- Więc zapomnij o tej ofierze. - Upajała się jego pocałunkiem, spragnionymi wargami odwzajemniła go, jakby całe życie na to właśnie czekała.

Poczuła, że w dole brzucha rozlewa jej się przyjemne gorąco.

Oderwała się z trudem od Valentego, żeby zadać jeszcze jedno pytanie.

- Jak mogłeś się domagać, żebym dała ci dziecko?

- Wtedy miałbym największe szanse, żeby zatrzymać cię przy sobie, *tesoro mia*.

Gdybyś choć w połowie była tak czuła dla naszego dziecka, jak jesteś dla swojego kota, chciałbym cię mieć już na zawsze. Uważam, że to bardzo atrakcyjna perspektywa.

Caroline przyglądała mu się z konsternacją.

- Ależ ty bywasz wyrachowany - bąknęła.

Valente pokiwał głową. Położył ją na łóżku i zaczął jej rozpinąć sukienkę.

- Tak bardzo cię kocham, że aż nie mogę wyjść z szoku - wyszeptała Caroline, poddając się jego wprawnym dłoniom.

Przerwał na chwilę, by posłać jej drapieżny uśmiech.

- Szokuj mnie, ile chcesz, *tesoro mia*. Nigdy nie przestanę cię kochać.

- Ja ciebie też. - To był najwspanialszy moment dla Caroline.

Ujrzała w jego oczach zachwyt i przywiązanie. Pierwszy raz od lat poczuła się bezpieczna. Odnalazła swoje miejsce na ziemi. Leżąc w ramionach Valentego, pomyślała, jaką skórę miałyby ich dziecko. Jasną po niej, czy ciemniejszą po ojcu?

Osiemnaście miesięcy później urodził się maleńki Pietro Lorenzatto. Po ojcu odziedziczył budowę ciała i rysy twarzy, po matce jasne jedwabiste włosy.

Isabel Hales zajrzała do łóżeczka, w którym smacznie spał jej pierwszy wnuk. Patrzyła na niego z zachwytem. Pietro był prześlicznym chłopcem.

- Kobiety będą za nim szalały. Twój syn ma wszystko. Urodę, pieniądze, pochodzenie... - zwróciła się do córki.

- I żyłkę do ciężarówek po pradziadku i tacie - zaśmiał się cicho Joe Hales, wchodząc do pokoju dzieciennego.

Serdecznie uściskał córkę na powitanie. Musnął piękny naszyjnik z brylantem, który Caroline miała na szyi.

- Dobrze wyglądasz, Caro. Widzę, że Valente znów był u jubilera. Chyba wydaje na ciebie wszystkie pieniądze, jakie zarabia.

- Nonsens, mój drogi. Valente ma krocie do wydania. - Isabel podeszła do Caroline, wsparta o swój balkonik. Przyjrzała się uważnie naszyjnikowi. - Valente wie, jak cię traktować, Caroline. Masz cudownego męża. Uwielbia robić ci prezenty. - Isabel była pod wrażeniem hojności zięcia.

Caroline, ubrana w suknię koloru burgunda, którą wybrała na przyjęcie z okazji czterdziestej rocznicy ślubu rodziców, uśmiechnęła się lekko. Ciekawe, jak zareagowałyby jej matka, gdyby wiedziała, że Caroline najbardziej ceni sobie miniaturową figurkę czarnego kota ze szkła Murano, jaką dostała od Valentego po narodzinach syna. Wtedy podarował jej także piękny pierścionek symbolizujący wieczną miłość, ale dla Caroline szklany kot był czymś o wiele ważniejszym.

Przyjęcie miało się odbyć dziś wieczorem w rezydencji Winterwood. Ugoszczenie przyjaciółek w gruntownie przebudowanym na koszt zięcia domu miało być dla Isabel najwspanialszą chwilą w życiu. O ile kiedyś Caroline krzywiła się, słysząc różne sądy i konstatacje matki, o tyle teraz najpierw spoglądała na Valentego, by sprawdzić, czy uda mu się powstrzymać wybuch śmiechu. Valente niezmiennie bawiły pozy i afekcja teściowej.

Przez dwa lata, jakie minęły od dnia ich ślubu, ich stosunki z rodzicami bardzo się ociepliły. Caroline często się z nimi widywała. Regularnie latała do Anglii na weekendy, zabierała rodziców do Toskanii na dłużej. Stan zdrowia ojca bardzo się poprawił. Isabel Hales nadal poruszała się z trudem, ale zamontowanie windy w rezydencji i pomoc przyjęta do prowadzenia domu znacznie ułatwiły jej życie. Dzięki temu mogła częściej zapraszać przyjaciółki do siebie na herbatę.

Kotka Koko doczekała się przyjaciela. Samiec kota syjamskiego miał na imię Whisky. W pracowni Caroline urzędowały więc teraz dwa koty. Dwa koty próbowały wślizgiwać się do biur i dwa koty trzeba było trzymać z dala od sypialni. Starając się zapobiec kociej inwazji, Valente stwierdził, że nie ma mowy o kociętach. Caroline, która

wywalczyła dom dla bezdomnego Whisky, fundując Valentemu najbardziej łązawą kocią historię, jaką zdołała wymyślić, z ociąganiem przystała na jego warunki. Jednak ostatnio Koko się zaokrągliła i teraz Caroline zastanawiała się, jak najlepiej przekazać Valentemu nowinę o kociętach w drodze.

Firmy Hales Transport i Bomark Logistics połączyły się w jedno duże przedsiębiorstwo. Żaden z pracowników nie stracił posady. Joe lubił wpadać do Hales-Bomark Haulage, by przyjrzeć się funkcjonowaniu firmy. Potem dzielił się swoimi obserwacjami z Valentem. Jej mąż stał się częścią rodziny. W najśmielszych snach nie przypuszczała, że stanie się to w tak naturalny sposób. Dobre stosunki Valentego z rodzicami wiele dla niej znaczyły.

Kiedy rodzice zjechali windą na parter, by tam oczekiwać przybycia ich pierwszych gości, Caroline stanęła nad łóżeczkiem i uśmiechnęła się na widok spokojnego snu synka. Ciężę i poród zniosła bardzo dobrze. Pietro wszedł w ich życie, jakby był w nim od zawsze. Po narodzinach dziecka ich szczęście małżeńskie zyskało nowy wymiar. Krótco przed porodem Caroline wzięła udział w konkursie na biżuterię artystyczną i zajęła pierwsze miejsce. Od tego czasu zyskała tylu nowych klientów, że musiała rozszerzyć działalność. Teraz skupiała się bardziej na projektowaniu wzorów niż na samym wykonywaniu biżuterii, dlatego częściej mogła sobie pozwolić na czas wolny.

Wróciła do sypialni. Chciała sprawdzić, czy Valente, który dopiero co przyleciał na przyjęcie teściów, zdążył się już przebrać w strój wieczorowy.

Stał przed lustrem w eleganckim smokingu, próbując okiełznać grzebieniem niesforne włosy. Odwrócił się do niej i obrzucił uważnym spojrzeniem. W jego oczach dostrzegła szczerzy zachwyty.

- Pięknie wyglądasz w tym kolorze, ale ja najbardziej lubię twoją suknię ślubną - przyznał. - Nie mogę uwierzyć, że w przyszłym miesiącu miną już dwa lata, *tesora mia*.

Caroline wpadła w jego otwarte ramiona niczym gołąb pocztowy wracający do domu.

- Uhm - westchnęła, przywarłszy do niego całym ciałem. - Nie mogę się doczekać balu maskowego.

- Nie znoszę kostiumów - jęknął Valente.

- Będziesz niewiarygodnie seksowny w stroju jednego z twoich przodków - zapowiedziała Caroline. Projekt ich kostiumów na bal powstał na podstawie kilku portretów członków rodziny Barbierich, które ona wybrała.

Valente spoglądał na jej drobną twarz rozkochanym wzrokiem. Wiedział, że zniszczy jej makijaż, jeśli ulegnie pokusie i ją pocałuje. Bez względu na wszystko i tak miał zamiar to zrobić.

Wiedziona tym samym pragnieniem Caroline złapała go za poły smokinga i przyciągnęła ku sobie. Skwapliwie skorzystał z tego zaproszenia do pocałunku. Ich szalona namiętność i czuła tęsknota splotły się w jedno.

- Trzy dni bez ciebie dłużą się jak miesiąc, *tesoro mia* - przyznał Valente.

- Ja też się za tobą stęskniłam - zawołała Caroline, zarzucając mu ręce na szyję.

Stali przez chwilę, spleceni w uścisku. Bliskość Caroline zrobiła swoje.

Valente zadrżał z podniecenia.

- Jak myślisz, ile możemy się spóźnić na przyjęcie? - zapytał z szelmowskim uśmiechem.

- Nie możemy, to wykluczone - zaoponowała Caroline.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy palce Valentego powędrowały po jej gładkim udzie i podniosły brzeg sukienki.

Nie pierwszy raz to słyszał, ale niełatwo było zbić go z tropu. Wytrwałość przyniosła owoce, pokusa zatriumfowała. Jakiś czas później uroczą parę pozbierała swoje ubrania i doprowadziła się do porządku, chociaż ani Caroline, ani Valente nie wyglądali tak nieskazitelnie jak przed gorącym powitaniem.

Kiedy schodzili po schodach na przyjęcie, Caroline spojrzała na swojego męża i wzięła głęboki oddech.

- Już od jakiegoś czasu chcę ci to powiedzieć... Koko jest w ciąży. Pojawia się kocięta. Pomyślałam, że kiedy podrosną, mogłyby zamieszkać w willi...

Valente posłał swojej żonie rozbawione spojrzenie.

- Nie mogłaś wybrać lepszego momentu, *tesoro mia*.

Caroline uśmiechnęła się i uścisnęła mu dłoń. Ze wzruszenia odjęło jej mowę...